

BLUSZCZ

*spoleczno-literacki iilustrowany
tygodnik kobiecy*



W a r s z a w a,
S o l e c 87.

„BLUSZCZ”

społeczno-literacki
ilustrowany tygodnik kobiecy

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

telefon 2-44-18.

W a r s z a w a,

Ś-to Krzyska 17 m. 3.

telefon 6-76-72.

Redaktorka naczelna *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW*.

Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*

Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*

Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

Treść numeru:

Czytajcie — *N. J. Poezje: Andrzejki — Halina Pilecka - Przybyszewska. Romans podchorążego — Natalja Jastrzębska. Ave Maria — J. B. Rychliński. W domku leśnych ludzi — Halina Hohendlingerówna. Nowe miasto — Aura Wyleżyńska. Wystawa sztuchów angielskich — S. P. O. Głód marzenia — E. K. M. Z ubiegłego tygodnia — H. N. Z teatrów — S. P. O. Przegląd prasy. Kobieta w świecie i w domu. Ogrodnictwo i hodowla. Piźmowce, Woskowiec, Najlepsza pora wycinania suchych gałęzi — *Marja Dąbrowa. Dom i gospodarstwo: Zapasy i przepisy — Wandą Dobrzańska. Przepisy gospodarskie — Melba. Mody i roboty. Z działalności Polskiej Macierzy Szkolnej. Rejestracja księgowych w Polsce. Wystawa książki harcerskiej.**

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—4.50 zł., kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 5.20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w c a : Tow. Wydawnicze „Bluszcza”, Sp. z ogr. odp

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

	zł.
1/1 str. tekstu	— 700.—
1/2 „ „	— 400.—
1/4 „ „	— 200.—
1/8 „ „	— 100.—
1/16 „ „	— 50.—
1/32 „ „	— 30.—

Okladka III-cia

	zł.
1/1 str. okł.	— 500.—
1/2 „ „	— 250.—
1/4 „ „	— 150.—
1/8 „ „	— 80.—
1/16 „ „	— 50.—
1/32 „ „	— 30.—

Okladka IV-ta

zł.
1/1 str. okł.—600.—

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-03. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU” powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

Bluszczy

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

Czytacie

Z cyklu „Bolączki inteligencji“.

Była kiedyś, w pierwszych latach niepodległości, biblioteczka pod tym tytułem, popularnie zwana „czytajka“, przeznaczona dla szerokich sfer, aby wzbudzić zainteresowanie dla lektury i udostępnić ją wszystkim. Do dziś dnia jednak przydałoby się powtarzać to hasło i nieustawać w propagowaniu go i wśród inteligencji również, może więcej, niż kiedykolwiek.

Czyż to możliwe? Inteligencja? Nie czyta? Czytelnictwo rozwija się przecież w Polsce coraz intensywniej. Z jednej strony tak, ilościowo. Czytają dziś całe warstwy ludności, które dawniej nie miały z lekturą styczności. Czytają gazetę: dorożkarz i dorożka, kucharka, młodzież robotnicza i rzemieślnicza odwiedza chętnie czytelnie. Wśród inteligencji czytelnictwo zmniejszyło się bezwątpienia.

Przed wojną nie można sobie było wyobrazić domu inteligenta bez czasopisma. Prenumerowano dzienniki i tygodniki, kupowano książki, abonowano różne wydawnictwa książkowe i nietylko powieści, ale wydawane zeszytami dzieła naukowe, encyklopedje, historję, historję sztuki, ozdobne wydawnictwa albumowe. Czy obecnie jest tak samo? Do dziś dnia można trafić niekiedy na taką „starą“ biblioteczkę domową przedwojennego typu. Jeśli ocalała z przewrotów kataklizmu dziejowego, to istnieje, ale nie przybywa w niej nic! Spaceruje najwyżej po stołach i półkach kilka tomików przygodnej, „wagonowej“ lektury, jakieś książeczka z porwaną okładką. Często niewiadomo nawet skąd się wzięli ci przybysze. Pożyczone, czy zostawione przez kogoś jednostki, dziś są, jutro ich niema. O oprawianiu, o dobieraniu bibliotek, o ulubionych autorach, posiadanych w pełnem wydaniu, o kupowaniu książek, niema mowy.

Jest daleko gorzej, gdyż istnieją, i to nie w minimalnej liczbie, domy, gdzie niema mowy o regular-

nem, normalnem czytaniu pism, choćby jednego. Ot, kupuje się czasem gazetę. Nie codzień. Jak jest coś specjalnie ciekawego. Jakaś naprężona sytuacja polityczna, albo „fascynujący“ odcinek.

Kryzys? Nie. Te sytuacje są właśnie u ludzi, którzy mają pracę i niezłe nawet dochody. Prędzej biedak wyda nieraz ostatni grosz na gazetę. Posiadający pewien ustalony i wcale przyzwoity budżet, żałuje na pismo. Kryzys kryzysem, ale wszyscy przeciętnie ubrani są przyzwoicie i mają na kino i kawiarnię. Nie mają tylko na książkę.

Tempo dnia dzisiejszego, radjo, życie publiczne, zebrania, związki, wszystko odrywa od poważniejszej lektury. Tak? Dziwne, dlaczego nie odrywa to niktogo gdzieindziej, a tylko specjalnie w Polsce, gdzie jeszcze to tempo nie jest znów takie amerykańskie. Taka sama historyjka, jak z kryzysem. Kryzys jest wszędzie i gorszy, niż u nas, życie toczy się o wiele więcej gorączkowo, a mimo to ludzie czytają. I jak czytają i co! We Francji np. idą obecnie w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, w małych księgarniach „klasycy“: Montaigne, La Rochefoucauld, lepiej: Ronsard i pomniejsi z Plejady! U nas czy kto czyta Reja, Kochanowskiego, albo Potockiego? Młodzież w szkole i na tem koniec. Z nowszą literaturą jest lepiej, ale o wiele zamało dobrze.

Wszędzie zagranicą widzimy czasopisma, poświęcone sztuce, ozdobnie wydane, pulsujące życiem, chwytające tempo artystyczne, wypełnione informacjami. Pisma te rozchodzą się znów w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy.

Gdzież to jest u nas? Niema, bo by nikt nie czytał i nie prenumerował. Nawet aktualne zainteresowanie budownictwem, wnętrzami nowoczesnymi, meblarstwem nie zdołało wytworzyć stałego wydawnictwa tego rodzaju. Inteligencja nie czyta.

Naturalnie, wskutek tego i niewiele umie. Zasłużyć na miano erudyty jest bardzo łatwo. Zdobyc je może każdy, kto choć troszkę interesuje się nauką, sztuką i literaturą. Ale zato taki dziwaczny osobnik ma sposobność częstego obserwowania, jak mało temi tematami interesuje się przeciętna p. t. publiczność. Inteligent zna mniej więcej swoją specjalność, co przy dzisiejszej specjalizacji wytwarza zakres wiedzy dosyć wąski. Jeżeli pozatem nie czyta, to pozostaje poprostu nieukiem, otwierającym szeroko oczy na każde, nie dzieło, ale nazwisko nawet tylko, które gdzieindziej jest powszechnie znane i to nie przez uczonych, przez przeciętnych inteligentów.

Ci, którym przypadło w udziale sianie intelektualnego ziarna, robią wiele. W każdym dzienniku, w każdym tygodniku znaleźć można, czytając perjo-dycznie i uważnie, całokształt niemal najwybitniejszych zjawisk intelektualnych. Wskutek braku takich, jak zagranicą, czasopism specjalnych, obowiązek informowania o pochodzie myśli i pracy ludzkiej spada na każde wydawnictwo i każde obowiązkiem tego wypełnia, choć w ogólnych zarysach, choć pobieżnie. Zadanie wcale nie łatwe wobec ogromu materiału, który trzeba streszczać, kondensować, wybierać zeń, co najważniejsze, często popularyzować, zawsze podawać w formie stylistycznie żywej i ciekawej. A rezultat? Ileż razy zdarza się w rozmowie: czytał pan, pani, to, czy to? — Nie, nic nie wiem, gdzie to było? Było w dzienniku, dziś. Czytał go przed chwilą, rzucił okiem na feljeton, sumiennie przestudjował wypadki i kradzieże, trochę sport; basta! Odłożył. I już nic nie wie.

To samo z takim już najprzystępniejszym popularizatorem, jak radio. Szeregi ludzi zamykają głośniki podczas odczytów. Lubia tylko muzykę. Czy istotnie? Czy interesują się historią muzyki, jej rozwojem, jej różnorodnymi fazami, rodzajami i teorją? Broń Boże, lubia posłuchać, jak grają.

O wystawach i odczytach lepiej nie mówić. W Paryżu odbywa się przeciętnie 25 — 30 tygodniowo odczytów, tylko z zakresu sztuki. Ze wszystkich epok, od starożytności Mezopotamji, do kubizmu i kapi-stów i ze wszystkich krajów od Judei i Egiptu, do Rosji Sowieckiej i ze wszystkich rodzaj: malarstwo, rzeźba, sztuka stosowana, aż do afisza, mebli i firanek.

Wyłącznie sztuki plastyczne. A gdzie literatura, gdzie muzyka, gdzie niezliczone gałęzie różnorodnych nauk?

Tak, ale to Paryż.

Bezwątpienia, ale też to i proporcja. W Warszawie nie naliczylibyśmy i czterech odczytów na tydzień na te tematy, a Warszawa, choć nie jest Paryżem, nie jest przecież Piktukowem.

Ale nas nic nie interesuje, poza ciasnym kręgiem domu, własnych interesów, kina i dancingu.

Znam młodego prawnika, człowieka z otwartą głową, przeciętnie zdolnego, który poccił się, jak w łaźni, przy przerabianiu najłatwiejszego chyba przedmiotu na wydziale: filozofji prawa. A cała ta pompatycznie brzmiąca „filozofja prawa“, to kilka

zdań o życiu i teorjach filozofów od Arystotelesa do, mniej więcej, Hegla. Poziom właściwie szkoły średniej. No tak, ale ten student, biedulka, nie przeczytał w swoim życiu jednej poważnej książki. I takich są tysiące, studentów i nie studentów.

Kobiety czytają powieści, przez ciekawość, dla fabuły, czy Numa wyszła za Pompiliusza i przez snobizm, bo to trzeba przeczytać, jeśli o tem mówią.

Mężczyźni odrzekają się od „powieściidel“. Co z tego za pożytek? Książki, ach, nie ściśle naukowe, broń Boże, ale poważniejsze: przyroda, podróżnictwo, wynalazki, technika nowoczesna, obyczaje, popularna socjologja i psychologja czytane są przez 5 może i przez 2 procent ogółu inteligencji.

A życie płynie wkoło potężne, szybkie, barwne, zmienne i pełne. Wszędzie kapią się w tym nurcie, płyną, kierują nim. Co czytamy teraz o Sowietach. Propagandowo „nastawiona“ literatura i sztuka? Napewno, ale jakkolwiek jest, ludzie ją znają, żyją nią, coś tam zawsze i poza propagandą z niej zostanie. Czytają o głodzie, a czytają. Za trzy lata dopiero przypada setna rocznica śmierci Puszkina. „Wiadomości Literackie“ podają w jednym z numerów spis wydawnictw, któremi Rosja zamierza uczcić tę rocznicę, jest ich około dwudziestu, zakrojonych na olbrzymią skalę, między innymi wydanie całości dzieł w autografach fotografowanych. Aż dziwne, bo ostatnie zwłaszcza lata życia Puszkina i wiele z jego dzieł nie mogą być sympatyczne dla komunistycznego społeczeństwa. Ale jest ciekawość, zamięlowanie, pasja poznania. Tej pasji poznania, tego zaciekawienia jest wśród naszej inteligencji mało, bardzo mało. Zamiast całokształtu bierzemy odpryski, ułamki, coś usłyszane od znajomych, w kawiarni, przy bridżu, coś licho, pobieżnie przejrzone, bez uwagi, skupienia i przetrawienia.

Rezultat? Dziwne, że kwitnie jednak literatura i sztuka. Jakościowo i ilościowo, na liczbę i poziom twórców. O doli materialnej tych ostatnich lepiej nie mówić. Zato z liczbą jakościową czytelników jest, jak na zaludnienie i stanowisko naszego kraju, nieświatnie. I przyjsć może taki czas, że te sfery ludności, które dawniej nie czytały nic, a dziś czytają już gazety, wydawać będą „czytajkę“ dla inteligencji.

Narzekanie na kryzys, na brak środków nic tu nie pomoże. Najpierw wcale nie było tak dobrze i przed kryzysem. Pieniądze płynęły wprawdzie jak woda na wszystko, ale bynajmniej nie na pisma i książki, w tym stopniu, jakby to być, w okresie ówczesnej prosperity, powinno. A podrugie, żaden kryzys nie usprawiedliwi pauperyzacji umysłowej. Jeśli coś jest za drogie, to trzeba, aby było tańsze. Tak, jak się to robi we wszystkich innych gałęziach produkcji, ale aby tak było, musi znów na to każdy wydawca mieć pewność, że mu tę taną książkę czy pismo kupią w odpowiedniej ilości. A do tego musi wzmóc się zamięlowanie czytelnictwa, zainteresowanie produkcją umysłową, czerpanie z niej zgoła. I trzeba, aby było tak niezbędne, do życia, jak tlen z powietrza.

Czytanie jest takim niezbędnym tlenem dla życia umysłowego każdego człowieka.

N. J.

Andrzejki

Spieszyły się moje buty za progi,
krzyk wrócił echem z Troej drogi,
spod poduszki wyciągnęłam Troe imię.

Topi się w tygielku woszczyna.
dziecocińskie wzrastają nadzieje —
na świętego Andrzeja.

Na cieniu wosk się zmienił w wianek,
śmiech i radość go przeplatały,
syczała od gorąca moda.

Na cieniu były druchny i pan młody,
karoca w cztery konie zaprzęgnięta
i obrączka... obrączka pęknięta.

Rozplynęły się wróżby cieniem,
a prawdy nic nie odmieni.
Żółty wosk w tygielku się topi,
mylał się wrzącym ukropem
poparzył ręce.

Nie będę wróżyć już więcej.

Romans podchorążego

3

Nadszedł ostatni dzień.

Te, które go poprzedziły, spływały w takim roz-
howorze, niepewności, gorączce, zwały się takim na-
tłokiem spraw, narad, nagłych decyzji, gwałtownych
odroczeń, że nie stało sekundy na własne myśli.

Teraz miał dla siebie pół godziny, długi wiek.

Bila piąta.

Wysocki poszedł do miasta, w szkole były wykła-
dy, ale Seweryn zwolnił się jakoś, wiedział że musi
ten czas przed sobą zostawić.

Nie czuł żadnego żalu, żadnego lęku, wszystko
stawało się tak, jak być musiało, jak sam całą siłą pra-
gnał, jak sam, razem z innymi postanowił. To też
miał spokój, więcej, olbrzymią ulgę, że stanie się, skoń-
czy nareszcie.

Chciał tylko spojrzeć jeszcze raz na ściany tego
domu, do którego dziś, za chwilę wejść miała sprawie-
dliwość zemsty.

Zamiar ani bezpieczny, ani łatwy do wykonania.
O pójściu górą od frontu, nie można było marzyć,
podchorążowie nie spacerowali tam wieczorami i od-
razu zwróciłoby to uwagę, ale i dołem, przez Łazienki
można było natknąć się na patrol lub wartę, a naj-
lżejsze podejrzenie mogło spowodować katastrofę, przy-
tem czas wyliczony był na krótkie minuty. Seweryn
zawahał się: niepodobiestwo. Nie wolno mu było na-
rzącać, nie siebie, ale całego przedsięwzięcia.

Wieczór był jednak tak ciemny, park wiał taką
ciszą i pustką, że zaryzykował. Postanowił tylko omi-
nąć pałacyk łazienkowski i wartownię, a pójść dalej,
przez drugi most, za teatrem, nakładał znacznie drogi,
ale zato było tam mniej szans spotkania kogokolwiek.

Omiijając szerokie aleje, bocznymi ścieżkami,
przez zarośla, prześlizgiwał się szybko i cicho. Padała
zimna mgła, w ciemności zaledwie odróżnić zdołał za-
ręsy teatru, który stał, jak nocne, strupieszale strasz-
dło, od stawu powiało stęchłą wilgocią, coś plusnęło
rozgłośnie pod mostkiem. Seweryn szedł na palcach,
okrążył staw, wyrastające z mgły drzewa zdawały się
zagradzać mu drogę. Ktoś biały stoi? Nie, to pomnik.

Nogi grzęzły w grubym pokładzie spadłych,
uschłych liści, ich nieprzyjazny szelest ludził nastę-

powaniem kogoś drugiego w jego kroki. Zaczął mżyć
drobny deszcz. Prędejj, prędejj, czasu tak niewiele.

Już.

Na ciemnej masie wzgórza, w perspektywie wy-
ciętych drzew zabielał pałacyk. Okna błyszcząły
światłem dalekiem, przyćmionem mgłą, migotliwem.

Jak teraz wyteżyć wzrok ducha, gdzie go wysłać,
aby dojrzał i odnalazł? Jak uprosić złudzenia, aby za-
błysło na chwilę ostatnią?

Jestże ona tam, za tą daleką, białą ścianą, w po-
kojach domu? Nie swego domu, na swojej kiedyś
ziemi.

Nic nie wiedząca, spokojna, beztroska, strzeżona
przez potężną władzę.

Za godzinę.

W cieplarnię uderzy piorun, rozniesie wichry i po-
lamie kwiaty, pożar krzewy spali, krew zaleje progi.

Zamiast korony, wdowi czepec przycisnie głowę,
twarz skryje czarna zasłona i omroczy świat.

Gdzie pójdzie, gdzie się obróci?

Czy przygarnie się do Polski, zmarnowana córka,
czy pukać będzie o wdowi chleb do lodowatych wrót
carskich?

Droga, wyciągnięta w pustce, konie jakieś rwą,
unoszą coraz dalej.

I pałac jakby się oddalał, zasłona mgły gęstniała,
okna malały i zdawały się odsuwać, jakby wchłaniała
je przestrzeń.

Jeszcze kilka kroków, jeszcze bliżej, jeszcze
chwilę.

Nie.

Te okna jak światła na baguach ciągną w prze-
paść, już ani piędzi dalej. Nadszedł czas, trzeba pod-
ważyć i wywalić zaparte wrota.

Wejdzie przez nie wolność.

Obudzić się ze snu, wyrwać korzeń uroczny nie-
szczęścia.

Trzeba się pożegnać.

Seweryn stanął.

Jej rękawiczka, znaleziona kiedyś, miał ją, teraz trzeba ją oddać.

Jeszcze raz na oczy, na usta. Zwinął białą kulkę i rzucił wstronę światła okiennych.

Poleciała i wsiąkła w noc, jak grudka śniegu.

Nie pamiętał, jak wrócił, gdy dochodził do szkoły, zobaczył przeświecającą przez drzewa lunę, w sąsiednich koszarach dzwonił sygnał ogniowy.

Kirasjery nas otaczają.

— Nieszkocia niema?

— Ani śladu, zewsząd nadciąga jazda moskiewska, stoją przed nami w szyku do szarży, wokoło, i na górze i od wiejskiej kawy.

Krótką rozmową Wysockiego z Kamilem Mochackim zabrzmiała dla Seweryna grozą. Teraz zginąć? Nie dostać się do miasta, nie zawołać „do broni” na ulicach, nie widzieć walczącego ludu? Niepodobiestwo!

Ja chcę, ja muszę dożyć, muszę zobaczyć wolność. Choć na chwilę, choć w momencie skonania, zobaczyć ją, uczuć, objąć.

Wysocki już się uśmiechał.

— Fraszki, rozpedzimy ich bagnietem, Nieszkoć musi być blisko, działa nas wesprą.

Ciężko wychodziły z zawias wrota niewoli.

Strzelanina z drzew, z rowów, szaleńcza tyraljera stu kilkudziesięciu przeciw dwóm pułkom, pusta forteca koszar radziwiłłowskich i stokroć gorsze, puste, wymarłe ulice.

Lud? Dzwony? Pochodnie? Okrzyki?

Nie cisza i ciemność i wyniosły, zimny, miążdżący wzgarda głos Trębickiego: wy jesteście nikczemni, wy mordercy, wy zdrajcy!

Kula z pistoletu Meciszewskiego, tuż nad głową i trupy polskie.

Przebili się jednak. Nareszcie, nareszcie! Wysypał się na miasto lud, wypłynął w ciasne uliczki, wypełniając je stłoczoną ciżbą. Obijały się o mury strotne echa gromkich okrzyków, świeciły pochodnie, huczały walące w drzwi i kraty arsenału siekiery, przerywając grzechot wystrzałów. Dudniły o bruk działa, zataczane ludzkimi rękami. O ten sam bruk, jak za Kościuszki. Odżyło wszystko. Pracowali w braterstwie walki żołnierze i lud, orząc twardą glebę pod zasiew nowego czasu. Rozpoczęły się gody wolności. Moja noc, mój ślub. Wybucha, oblewając mury, gorący, różowy fajerwerk, huczą salwy. Rakiety? Toasty wiwatowe?

Ziemia drży, zatacza się ze szczęścia wszystko wokoło.

Chłopi dowodzi na Saskim Placu!

Niech żyje! Niech żyje!

Wziął do niewoli moskiewskich generałów! Wielkiego Księcia!

To nie fajerwerk, to luna świeci, zaczerniały w jej blasku szczerzące bagnety masy Wołyńców. Rażeni z flanki działami Waligórskiego, prą naprzód, na arsenał. Tam zamknięta broń i proch, ogień żył rewolucji. Wyleciały drzwi i kraty, wylatują za niemi palasze, karabiny, pistolety, lud chwyta ogień rewolucji. Razem teraz z żołnierzami go poniesie. Wołyńcy tuż. Ognia! Ognia! Ognia! Ktoś zerwał kaszkiet, pęd powietrza od wystrzałów? Dym gryzie w oczy, zasłania. Jeszcze coś zasłania, zalewa oczy, usta, słony, ciepły płyn.

Oprzeć się, tchu brak, odpocząć chwilę.

Seweryn ocknął się, klęcząc na bruku.

Upadł na kolana przed wolnością.

Ktoś go podniósł, ktoś ścisnął mu głowę chustką.

Wołyńcy pierzchli, z Franciszkańskiej występował Roszlakowski, przed arsenałem sapersy rozdawali ludowi ładunki.

Miasto żyło, ugotowało tłumem, huczało głosem tysięcy i biło tętnem tysięcy. Z za rozsuwających się mgieł dymnych, w różowych światłach migała zjawia wolności.

Ale zdobyto dla niej tylko miejską przystań, tylko zuchelek brukowanej ziemi. O kilka tysięcy dobrych kroków żołnierskich, w mrocznych alejach, przed kratami swego pałacu, stał.

Żywy.

A za kratami pałacu? W dole był park pusty i białe pomniki. Opasało go czyjeś mocno ramię.

— Chodź ze mną, idę z patrolem na Pragę, odprowadzę cię po drodze do nas — ranny jesteś.

— Kaszkiet był ranny, nie ja, kula otarła się tylko.

— Et, nie mędrkuj, wyglądasz, tjak stwora, słaniaś się. Do nas, na Pragę kilka kroków, jak cię opatrzą i orzeźwiejesz, wrócisz. Nie bój się, moskale wszyscy tak zaraz nie uciekną!

Kamil Mochacki podtrzymuje go i prowadzi.

— Słuchaj, czy to prawda, że Konstany w Alejach?

— Ano, wymknął się. Ktoś tam podobno jeszcze strzelił do niego, ale też chybił. Twarde ma życie, jak kot. Djabeł mu podprowadził nasze kompanje.

— Wyważone dopiero wrota, progu nie przekroczyła.

— Wcale ich nie wyważali, pchnęli tylko. Belweder nie był zamknięty. Cóż, kiedy jego nie znaleźli.

— Wolność nie weszła jeszcze.

— Ach, ty o tem? Wejdzie, bądź pewny, wejdzie do całej Polski. Na karabinach ją wniesiemy.

Weszła. Doczekał.

Doczekał też jeszcze wiadomości o śmierci wielkiego księcia.

Gdzie pójdzie, gdzie się obróci?

Obróciła się na północ, pojechała, wierna żona, za trumną w daleką, wyciągniętą w pustce drogę.

Ale to już było tylko jak sen, jak przypomnienie z innego życia.

Tym razem rzeczywistość zabiła marzenie.

Wypaliła się tęsknota, rana zaschła w dymie i trudzie walk, serce zakamieniało na wspomnienia.

Drżało teraz jedną miłością i jednym niepokojem: czy wolność żyć będzie?

A ona właśnie umierała.

I to był cierń męki, która może gdzieś głęboko, bezświadomie łączyła się z tamtą wewnętrznie.

Ale nazewnątrz była sama, przemożna i czysta.

Tylko na nią nic poradzić nie było sposobu.

I niczego uratować, żadnym trudem, żadnym samozaparciem, żadną ofiarą.

Kapitan Seweryn zginął na Woli, 5 września.

Joanna Grudzińska umarła 29 listopada 1831 roku, o godzinie 7 wieczorem.

Jedna córka i jeden syn Zochulki i Andrzeja dożyli wolności.

Natalja Jastrzębska.

Życie Krzysztofa Arciszewskiego (1592 — 1656), admirała floty holenderskiej, znakomitego żołnierza, najpierw w służbie holenderskiej, w której wstąpił się zwycięstwami w Brazylii, później „starszego nad armatą koronną“, czyli generała artylerji za Władysława IV i Jana Kazimierza, stanowi kanwę „Przygód Krzysztofa Arciszewskiego“. Niżej podany fragment z tej powieści przedstawia przełomową chwilę, gdy w Sao Salvador, stolicy portugalskich posiadłości w Brazylii, Arciszewski postanawia powrócić do kraju na służbę polską. Bohaterką powieści jest Dona Carlotta Carvajal, córka hiszpańskiego granda, który padł w bitwie z Arciszewskim. Dona Carlotta zapalała do Arciszewskiego nienawiścią, przerażającą się wobec rycerskiego do niej stosunku Polaka (ocala on ją nieraz, gdy jako partyzant, „Czerwony jeździec“ wpada w ręce Holendrów) w podziw, szacunek, później romantyczną miłość. W poniższym fragmencie, drogi ich się rozchodzą.

Pierwsze rzeźwe tchnienie kryształową falą wlało się w Avenida de las Palmas, szeroką arterję stolicy brazylijskich posiadłości korony hiszpańskiej. Aleja biegła w kolorową dal między kolosalnymi słupami palm królewskich. Na pierzastych, błyszczących kapitelach tych drzew — olbrzymów spoczywało sklepienie z drażonego szafiru, obejmując cały ów rozjarzony świat wśród soczystej zieleni hertas¹⁾, faejend²⁾, aż po siwy kontur dalekiej sierry³⁾.

Wraz na spotkanie życiodajnego nurtu, w rzeźwe fale chłodu — z uliczek krętych, z pod łuków werand, balkonów i portyków — wyległo pół grodu na Avenida de las Palmas. Nadeszła pora wieczornej promenady. Wykwitł kostyczny uśmiech hiszpańskiej etykiety na złotem obliczu krainy Inkasów. I oto po wyboistej avenida, będącej w roku Pańskim 1638-ym tylko gościńcem, przełożonym przez dżunglę, w skąpym cieniu palm i araukarji posuwały się faetony komandorów, hacjenderów i wszelakiego rodzaju rycerzy fortuny wśród łyskania brzeszczotów, rur arkebuz i wysokich halabard.

Z długiego wąskiego rynku warzywnego nad kanałem, z pomiędzy płaskich koszów, jakie noszą na grzbiecie małe osiołki, burro, z pomiędzy kramów, zawalonych wzgórzami kostropatych ananasów, batatów, pokracznych korzeni, worów czarnej fezy, czyli fasoli, melonów wielkich jak kula, zwanych „mama“, włochatych orzechów kokosowych, owoców gojawy, bananów, z pośród lupów rajskiego ogrodu, słowem, otwierał się widok na wieczorną promenadę. Oswojone z gwarem ludzkim wielkodziobe tukany łopotały nad rynkiem, kradnąc zgóry te skarby Flory, które chwytnie łapy małp i sprytniejszych od nich kolorowych bachorów podbierały od dołu. Wybuchaly kaskady dźwięcznych wymysłów, wyzwick i gestykulacji, a obok przesuwało się milkliwie pióro i nieruchoma maska Indjanina. Nad tłumem po sznurze, przeciągniętym od balkonu do strzelnicy kwadratowej wieży, kroczył sztywno laskonogi linoskok, przystrojony w oslepiające blaszki; od patrzenia weń w oczach się émiło i zieleniło. Dziw uśmierzył wrzenie i gadatliwość tłumy, tylko od czasu do czasu odzywał się sprzedawca wody, wykrzykując: Agua, agua fresca!⁴⁾

Na dwóch obcych mało kto zważał. Wśród krępych krajowców i jaskrawej gawiedzi snuł się wysoki przybłęda, łazik jakowyś w czarnym obszarpanym płaszczu i szerokoskrzydłym, stożkowatym kapeluszu, mocno na oczy wciśniętym, za nim zaś kręcił się człek mały pokraczny, jednooki i suchy, w pasiastej koszulce marynarza i obszernych płóciennych spodniach, w dziurawym słomianym kapeluszu na łbie. Nie było nic szczególnie zastanawiającego w zja-

wieniu się Don Kiszota z Sancho Pansą, gdziekolwiek sięgało berło Jego Katolickiej Mości, lecz ci dwaj byli w tak odmienionej postaci, jakby w dalekiej swej Odyseji spotkali jaką west - indyjską Cyrce. Mimo szat swoich byli tak odmienni od kolorowego mrowia jak dwa nordyckie cienie, przeniesione zaklęciem na sam płomienny równik.

Niebieskooki pan zapatrzony był we wspaniałą promenadę podczas, gdy pokraczny sługus jedynem swem oczkiem pilnie toczył dokoła. Przecie ni jeden, ni drugi na sztuki linoskoczka nie zważali wcale.

— Wszystko, jak we śnie — szepnął obdartus z pańską miną, na którego rękę zacny kamień w ukośnym snopie słońna znagła się rozżagwił. — Wszystko jako we śnie moim, co mi się w transzeji pod La Roszeltą wyśnił.

— Wasza miłość — wyszeptał w tym samym szeleszczącym języku marynarz z plastrem na oku — ilekroć bliskie niebezpieczeństwo, poczynasz dywagować srodze.

— Słuchajno asan — odparł kawaler, przesuując się wśród gawiedzi, zagapionej na linoskoka — czyś ty się nadto ze mną nie spoufalił?

Marynarz wykrzywił capią gębę, jakby coś paskudnego połknął, i rzucił od niechcenia:

— Chociażem waszej miłości pokorny sługus i turtumfacki, jam bene natus. Toć Smętek jeno me przezwisko, a istotnie zwę się Rychlik i klejnot mój Znin.

— Rychlik, czy Chochlik, czy jak ci tam sakramencka fujaro — odmruknął Arciszewski, przebrany za łazika, wycofując się zręcznie z tłumy — tak mi się coś widzi, że ty już przy smętku i zgrzytaniu zębami pozostaniessz, bo jak nas gawaczosy⁵⁾ capną, to ci szlachetnie urodzoną skórę na jaszczur wyprawią. Rychło wczas, mości Rychlik, tyś mnie tę nobliwą, szpiegowską imprezę naraił...

— Ja? Jam naraił? — oburzył się Smętek. — Jam nie raił, jeno skoro wasza miłość na ambit żeś wziął, nikiem koń narowisty, kiedy na kiel weźmie...

— Nie ja na kiel, jeno Nassauczyk na hak mnie wziął. Do perlustrunku⁶⁾ takich fortalicyj, jak tutejsza, kunsztu trzeba i eksperjencji⁷⁾, a Nassauczyk, zdrajca dobrze wiedział, że żaden z jego oficerów na ochotnika się nie zaofiaruje. Przecie nic by z tej kabały nie wyszło, gdybyś się ty, miecnoto, pod namiot rady nie podwiął z ową piosnką o wygnaniu Arjans⁸⁾, która mi zawsze krew psowa. I Arciszewski w najlepsze począł nucić:

Wychodź swacho Babilonu,
Nierządniczo wszeteczna...

— Cichaj no, wasza miłość! Całkiem rozumś stradał, he? — już bez wszelkiego respektu przerwał mu Smętek. — Coś mi się widzi, że ten z koguciami pióry na sombrero⁹⁾ to alguazil¹⁰⁾, i cale z oka nas nie spuszcza. A ront halabardników nikogo, tylko nas szuka.

— I jako żywo od Ulicy Białoskórników drogę nam zachodzi! Zostaje nam do odwrotu Ulica Stelmachów, za którą ponoć jest katedra, gdzie się nie-spór odprawia.

⁵⁾ Hiszpanie.

⁶⁾ Zbadania.

⁷⁾ Doświadczenia.

⁸⁾ p. Dzieje obyczajów w Polsce prof. Bystroń.

⁹⁾ Kapulusz.

¹⁰⁾ Policjant.

¹⁾ ogrodów, ²⁾ kolonij, ³⁾ gór

⁴⁾ Woda, woda świeża.

— Prawo azylu¹¹⁾ nam nie służy! — odrzekł Smętek, ponuro zwiesiwszy głowę — lecz kusa rada...

Wstąpili na schody starte, kamienne, wiodące w uliczkę, zacienioną od góry kratą z żerdzi i łat, przełożonych od dachu do dachu, które były płaskie, wszystko na sposób arabski. Powiało na nich mieszaniną odorów, próchna, butwienia, pleśni, rdzenia drzewnego, smoły, kleju, politory, a wraz ogarnął ich klekot pobijających obręcze młotków, stuk równy, raz po raz, chrobot hebla i zgrzyt piły, a wióry drogocennych gatunków egzotycznego drzewa zaszeleściły im pod nogami. Tu i ówdzie kłoda, nawpół z kory odarta, wystawała z podsienia, tamując przejście, że trzeba było ją przeskakiwać. Kupa korka poniewierała się pod murem. Byłoby się czego napatrzeć, gdyby nie strach, że od wylotu uliczki na plac¹²⁾ drogę im zabieją.

Tam oto rzeźbili krzesła z wysokimi oparciami z cedru lub rząbu, pao santo, skąd poszła na świat cała nazwa palisander. Ówdzie buchało wiercącym w nozdrzach odorem korzennym zpod heblowanej deski kolosa cynamonowego. Tuż obok zbijano klepki z ciemno czerwonego, opornego na wodę drzewa żelaznego. Tu strugano wiosła z lekkiej i mocnej zangady lub pióra sterów z czarnej itauby, tam drażono kufry i sepety z drzewa sandałowego, wonnego, jak pachnidła, z drzewa czekoladowego, lub z „krowiego mięsa“, koloru krwi. Stoliki niskie cyzelowano w purpurze drzewnej, czarno nakrapianej, cięto deszczulki z odurzającego „balsamo“, fornir z „sebastya da arruda“, drzewa o pięknym deseniu z czerhonych, żółtych fioletowych żyłek; toczono koła z grapjopinjii pod złoczone koce i podwozia.

Tu i ówdzie obejrzał się za przechodniami półnagi kołodziej, cieśla, lub okrętownik, lecz wśród powszechnej krzątanimy, mnóstwa czeladzi, kto tam miał czas i ochotę baczyć dwóch waganów, klójących się między sobą w obcym djalekcie.

— Z nastaniem nocy — mówił, dysząc ciężko Arciszewski — nie będzie się gdzie schronić, bo nas w gospodzie Bom Viagem, zwietrzyli.

— Gdybyś się wasza miłość nie uparł był — narzekał Smętek — zachować na ręku owo kocieoczeko, nigdyby nikomu i nie pozostało w gło...

— Primo, mam w tym pierścieniu inkluzę¹³⁾. Secundo, mało to wszelakiego tałatajstwa zacnych klejnotów narabowało? Tertio: była zdrada!

Smętek tylko głębę w dziób zwinął i gwizdnął przeciągle: — Czekajno, wasza miłość... — rzekł. — Czyżby Nassauczyk? Toć to wielki pan, magnatus. Takie książe?

— Jeśli nie on sam, to który z jego psiarni.

— Invidia?¹⁴⁾

— Kością w gardle tym pyszałkom stoi moja sława.

Zamilkli obaj, znalazłszy się na obszernej, brukowanej kociemi łbami placu, niemal u wrót masywu katedry, nad którym wyrastał trzpień wieży czworokątnej, sterzącej niby olbrzymia kopja. Grot z rzeźbionego kamienia pławił się w posoce zachodu podczas, gdy na placu, otoczonym krużgankami, gmatwaniną filarów, wnęk, balkonów, lub zgoła nagimi obronnymi murami, w stropy i strzelnice, mrok podsieni zwinnie, lekko się skradał. Na tarasie kordegardy powstał oto ruch, szcęk i parada, gdyż właśnie z Avenida de las Palmas, mieniając się pychą złotą, zbrój i klejnotów nadciągał sznur wieczornej promenady. Jednocześnie ku kowanym wrotom katedry, pod las błękitnieją-

cych posągów na kapitelach świątyni napływał tłum wiernych, mężczyzn, zdejmujących sombrero, i kobiet w chustach koronkowych, zarzuconych na ażurowe wysokie grzebienie.

Dwaj cudzoziemcy czempredzej wmieszali się w tłum pobożnych.

Tuż za faetonem alcada¹⁵⁾, pośpiesznie zjeżdżającym z drogi, toczył się, a podskakiwał z łoskotem sześciokonny powóz gubernatora stolicy. Rozparty w pozłocistem pudle Don Joas da Souza, oliwkowy i chuderlawy paradował w sztywnych nieustannych półukłonach i sypał krzywymi błyskawicami wślad za każdym żywym gestem, każdym skinieniem i trzepotem aksamiitnych oczu damy, siedzącej po jego prawicy.

— Patrz! Patrz, wasza miłość! — szepnął Smętek do ucha swemu panu — tam przy gubernatorze, Dona Carlotta!

Pulkownik Arciszewski podniósł wzrok i zmarłwiał. Jak to często bywa w tłoku, znalazł się on wraz ze Smętkiem o kilka kroków od powozu gubernatora. oddzielony od Dony Carlotty tylko trzema rzędami głów, po których wspaniałemi oczyma przypadkowi powiodła. Drgnęła, i zadrżał w jej ręku wielki purpurowy kwiat freycyntji. Dżetowo czarne oczy damy natrafiły w tłumie na błękitne spojrzenie, i oto przewinął się w nich dziw wielki i błysk zrozumienia. Właśnie po kwiat, którym się bawiła, gubernator rękę wyciągnął. Ze zmieszania, czy przez djabelską złośliwość Dona Carlotta cisnęła purpurową freycyntję w tłum, wprost w utkwione w nią niebieskie oczy. Dostrzeżono tylko błysk pierścienia w naświetlonym powietrzu i męska ręka dar ów pochwyliła. Nie widziano w tłumie komu przypadł w udziale, przecie w orszaku, z góry widać było tego szczęśliwca, który wyglądał na cudzoziemskiego waganę. Nad trzęsienią brylantowe, orle i strusie pióra, głowy w beretach i spowite jaskrawemi szarfami, buchnęło w jeden głos:

— A-a-ah! Que felicidad!¹⁶⁾

Gubernator zzieleniał z zazdrości. — Dona Carlotta! — syknął — póki życie nie zapomnę tego afrontu! — Skinął na kapitana straży przybocznej, jadącego u drzwiczek powozu, i wskazał mu oczyma chudopacholka, na którego spadła krwawa łaska córki granda. Kapitan wparł konia w tłum z oczyma w Arciszewskiego utkwionemi.

— Zginęliśmy! — jęknął Smętek. — Kapitan Mandanza był od niego o parę kroków. Już rękę na intruza wyciągnął, już otwierał usta, by zawołać: — Sta preso senhor¹⁷⁾ — gdy waganom przyszła niespodziewana pomoc. Nie stało czasu na rozprawę. Hen, zpod welny obłoków, zpod złotego krzyża katedry na białe miasto spadła melodyjna cisza. Na Anioł Pański biły dzwony. Wąż pojazdów stanął jak wryty. Wszystkie głowy odkryły się naokół i wszystkie ugięły się kolana. W melodyjnej ciszy rozplynał się powszechny szep i szmer, niby wieść pokoju:

— Sancta Maria... gratia plena... Dominus tecum..

W tym momencie zawieszenia broni, podczas parominutowej Treuga Dei, Arciszewski, jak osaczony zwier, rzuciwszy dokoła okiem, spostrzegł, że tłum wiernych wsiąka w oddrzwia katedry. Natychmiast uprzytomnił sobie, że tam otwiera się jedyna droga ucieczki, i pozwolił unieść się fali, pociągając za sobą Smętka. Stało się to mniej, niżli w sekundę, tak błyskawiczną obdarzony był ów urodzony wódz zdolnością ogarnięcia sytuacji i powzięcia decyzji.

Mrok uderzył ich w oczy.

¹¹⁾ Prawo schronienia dla przestępcy w kościele.

¹²⁾ Czyt. plasa, plac.

¹³⁾ Wiara w genjusze, zaklęte w kamieniach.

¹⁴⁾ Zazdrość.

¹⁵⁾ Sędzia.

¹⁶⁾ Szczęśliwy.

¹⁷⁾ Aresztuję pana.

W domku leśnych ludzi

Wrażenia z wizyty u Marji Rodziewiczówny w Hruszowej na Polesiu.

Jest wczesny ranek. Słońce delikatnie przygrzewa i nieśmiało złości budzący się świat. Z okien wagonu unoszącego nas w głąb Polesia oglądamy typowy krajobraz: stuprocentowa równina, jak okiem sięgnąć pokryta zielonymi łąkami. Wśród nich błyszczą wielkie błękitne oczy mokradel i rozlewisk, ponad którymi kołują poważnie bociany. Gdzieś na horyzoncie wystrzela niewielka grupa drzew lub krzaków, albo majaczy samotna chata. Słońce coraz wyżej. Wypija resztki mgieł, włączających się nad wodami. Dzień zapowiada się bardzo ciepły i pogodny. W miarę zbliżania się do celu, ogarnia nas lekkie wzruszenie. Wreszcie oczom naszym ukazuje się mała stacyjka: Horodec. Wsiadamy. Pytamy o konie z Hruszowej. Są, a jakże.

Cztery i pół kilometra drogi mijają szybko i oto już zajeżdżamy przed dwór. Niema tu wspaniałych gazonów, ani kwietników. Zato jest dużo starych drzew, pośród których wychyla się dwór. Zbudowany w

stylu czystego empire'u, piętrowy, z wysokimi kolumnami u podjazdu, robi wrażenie nieomal pałacu. W pobliżu, z obu stron dworu, śpichrz i stodoła również stylowe i przepiękne.

Hruszowa ma ciekawą historję. Należała do kompleksu dóbr Królewskich. Po rozbiórce Caryca Katarzyna rozdarowała swoim ulubieńcom wszystkie majątki wchodzące w skład tych dóbr. Hruszowa dostała się Suworowowi. Obywatelstwo polskie postanowiło jednak wyrwać tę ziemię z rąk moskiewskich. Wielki to był wysiłek, ale wykupiono wszystkie. Hruszową nabył dziad Rodziewiczówny. Przeszła ona potem drogą dziedzictwa do jej bezdzietnego stryja, a po jego śmierci i po śmierci jej ojca dostała się jej i jej rodzeństwu. Osiemnastoletnia Marja postanowiła objąć majątek, spłacić rodzeństwo i długi ciążące na majątku. A było ich nie mało! Ileż więc trudu, ile wysiłku i pracy musiało ją to kosztować. Ale osiągnęła cel. Nad-

szedł wreszcie dzień, w którym stanęła przed portretem nieżyjącej już wówczas matki i oznajmiła Jej o dokonanej dziele. Można sobie wyobrazić jak kocha tę ziemię, dla której ocalenia poświęciła całą swoją młodość.

W obszernej sieni, gdzie stoją piękne skrzynie krakowskie, wita nas postać tak dobrze nam znana z fotografii. Nie możemy się pogodzić z myślą, że widzimy ją po raz pierwszy. Zbliżamy się radosne, naraz...

— Z jakimi słowami wchodzi się do chrześcijańskiego domu? — pada niby to gniewnie, ale raczej uśmiechnięte pytanie. I Rodziewiczówna sama w tej chwili mówi:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

— Na wieki wieków amen — odpowiadamy trochę zawstydzone.

Rodziewiczówna widzi nasze zakłopotanie i uśmiecha się serdecznie. Po kilku słowach lody pryskają. Jesteśmy, jak u siebie w domu.



Rzeczulka poleska.

(Fot. Poddębski).

Poznajemy kuzynkę pani domu, przemilą starszą osobę.

Nietylko nazewnątrz dwór hruszowski zwraca uwagę swoją niezwykłą urodą. Wnętrze bowiem jest również nieprzeciętne. Ogromny salon, oświetlony dwoma oknami w bardzo głębokich wnękach, z wyjściem przez maluchną oranżeryjkę na ogród, umeblowany jest pięknymi antykami rodzinnymi. Na ścianach portrety: oto prababka Rodziewiczówny — poważna matrona w pięknym polskim stroju; oto babka — w wytwornym kokieteryjnym przybraniu z lat trzydziestych; oto Matka — śliczna — w stroju z epoki powstania styczniowego. Obok portrety męskie i różne obrazy. Na staroświeckim fortepianie leżą liczne albumy, adresy, teki i t. p. pamiątki i dowody czci, jaką otacza naszą znakomitą pisarkę.

W związku z temi pamiątkami słyszymy zabawną anegdotę:

Pewnego razu, w pewnym mieście, pewne stowarzyszenie kobiece urządziło uroczysty obchód na cześć Rodziewiczówny. Naturalnie były i przemówienia. Jedna z organizatorów zabiera głos: „Byłaś mi matką i przewodniczką — mówi z patosem — na twoich dziełach, Czciogodna Pani, kształciłam umysł swój, serce i duszę. Szczególnie zaś, jak gwiazda przewodnia, zawsze świeciła przedemną powieść twoja, Czciogodna Pani — „Nad Niemnem“... Tableau...”

Wszędzie pełno kwiatów, szczególnie przepięknych róż — własnej hodowli.

Wchodzimy do jadalni na śniadanie. Środek zajmuje stół dębowy na krzyżakach, rzeźbiony, otoczony odpowiednimi, artystycznie rzeźbionymi zydłami. Wygląda mi to na początek XVI stulecia. Okazuje się, jest to dzieło p. Weychertówny według wzorów z tamtej epoki, ale z poleskiego dębu rzeźbione w Hruszowej.

Na ścianach mnóstwo talerzy ludowych z rozmaitych okolic. Kredens o bardzo ciekawych kształtach (też dzieło p. Weychertówny) udekorowany ceramiką ludową. Śniadanie podane na talerzach i w filiżankach bolimowskich.

Zachwycam się i zazdroszczę.

— Skoro pani to lubi — mówi Rodziewiczówna — będzie pani miała prawdziwą przyjemność, jak pójdziemy do domku leśnych ludzi.

Słyszałam już o tym domku, więc jestem szalenie ciekawa.

Jest jeszcze jeden oryginalny pokój w dworze w Hruszowej: pokój szwedzki. Przeważną jego część zajmuje ogromne charakterystyczne łóżko w kształcie szafy zasuwanej firankami, jasne, malowane,

jak zresztą wszystkie meble szwedzkie, w jaskrawe kwiaty. Bok tego łóżka tworzy kredens. Umymalnia, komoda, ba, nawet lichtarze utrzymane w stylu.

— To pamiątka z wycieczki do Szwecji — mówi Rodziewiczówna — ale też robione i malowane według przywiezionych wzorów tutaj, w Hruszowej. Pracowałyśmy nad tem razem z p. Weychertówną.

Po śniadaniu zasiadamy w salonie. Korzystam, że moje towarzyski zasypują Rodziewiczównę pytaniami i milczę. Słucham i patrzę. Wtem Rodziewiczówna zwraca się do mnie.

— I co pani o mnie napisze? — pyta.

— Jeszcze nie wiem — odpowiadam szczerze.

— No to ja pani powiem — mówi z uśmiechem. — Musi pani tak zacząć: „Gdy wysiadłam z pociągu, uwagę moją zwróciły przede wszystkim dwa budynki: z jednej strony kościół, z drugiej — dwór. To są podstawy, słupy granitowe, na których opierała się zawsze i będzie się opierać polskość naszej dzielnicy. Gdyby nie kościół i polski dwór, kto wie, jak by tu dzisiaj było?” — Niech pani to przede wszystkim podkreśli, bo to najważniejsze.

Zapaliła się. Mówiła wiele, gorąco, z ogromną miłością do tej ziemi, do tego ludu, do Polski. Głęboka wiara i miłość ojczyzny — oto dwie zasadnicze cechy świetnej pisarki.

Umilkła na chwilę.

— No i dlaczego pani nie pyta? — zwróciła się znów do mnie.

— Wystarczy mi słuchać, jak pani mówi — odpowiedziałam.

Wychodzimy do ogrodu. Zajmuje się w nim kwiatami panna Skirmuntówna. Śliczny! Mnóstwo róż, piękne dalje i różnobarwne floksy. I wiele innych kwiatów. Drzewa owocowe najprzedniejszych gatunków. Spoczywamy w budce wystawionej własnymi rękami Rodziewiczówny. Zajadamy, pyszne poziomki.

— Mam je stale do listopada — taki gatunek — mówi.

Za nami biegają wszędzie trzy rude jamniki: Działdzia, Gasio i Ulo.

— Niechże pani nie zapomni o nich — mówi z uśmiechem. — To są moi nieodstępni towarzysze i przyjaciele.

Po obiedzie idziemy wreszcie do domku leśnych ludzi. Stoi w ogrodzie. Mała chateczka, otoczona wysoko rosnącymi i bogato kwitnącymi, drobnymi słonecznikami. Dokoła szumią drzewa i brzęczą pszczoły, których ule znajdują się niedaleko. Wchodzimy. Sionka i dwie izdebki. Domek jest tak urządony,

że można w nim mieszkać. Nie brakuje najdrobniejszego sprzętu. A wszystko ludowe, wiejskie. W pierwszej izbie piec z okapem. Łóżko zasłane wileńskim samodziałem. Ławy i stół na krzyżakach. Na ścianie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, pięknie udekorowany chustką krakowską. Wszedłszy, Rodziewiczówna żegna się przed obrazem i odmawia modlitwę: Salve Regina Mater Misericordiae...

Pod pułapem wisi wspaniała trąba pastusza, mająca parę metrów długości. Na jesieni pastuchy wygrywają na takich trąbach swoje smętne melodje. Opierają instrument o drzewo lub o płot i grają.

— Konopnica bardzo to lubiła — mówi Rodziewiczówna. — Gdy przyjeżdżała do mnie, zawsze musieli jej grać. Bo rzeczywiście, jesienią, gdy mgły się snują po polach, gdy zmierzch zapada i ogniska płoną, melodje grywane na tych trąbach, wywołują przedziwny nastrój. Wtedy dopiero się odczuwa w pełni, co to jest Polesie...

W drugiej izbie znajduje się bardzo oryginalne łóżko: jestto kołyska z wikliny, jakie tutaj plotą chłopci dla swoich niemowląt, zawieszona u pułapu na sznurach. Tylko, że ta kołyska, którą tutaj widzimy jest dostosowana rozmiarami do wzrostu dorosłego człowieka. Również zasłana samodziałem.

W tej izbie podziwiamy oryginalny zbiór przeróżnych ptasich gniazd i jaj. Są tu gniazda o najoryginalniejszych kształtach, niezmiernie misternej roboty, są jaja nieomal wszystkich ptaków tutejszych, stałych i przelotnych, począwszy od wielkich jaj łabędzi i żorawi, do malusińskich jajeczki mysikrólików i strzyżyków. Można tu godzinami siedzieć i oglądać te skarby. A przytem jest tu cicho, słodko, ukojnie, słonecznie... Rozmowa płynie wolno, nieprzymuszenie. Nikt nikogo nie nagli do słów, nikt nikomu nie bierze za złe milczenia. Jest nam dobrze.

— Chciałoby się tu zostać długo, długo, — mówię.

— Proszę bardzo — odpowiada z uśmiechem Rodziewiczówna. — Przez trzy dni będzie pani gościem, a potem dostanie pani robotę i przestanę się panią zajmować. Bo dłużej niż trzy dni próżnować nie można.

Rozmawiamy. Dowiaduję się, że w Hruszowskim dworze od wieków żyje Duszek domowy — Ulo. Jestto bardzo dobry Duszek, przyjacielski, ale trzeba mu zawsze zostawiać na noc w dwóch skorupkach od orzechów w jednej trochę miodu, a w drugiej mleka. Jeśli zapomnieć, mści się, robiąc psoty. To klucze tak gdzieś schowa, że niemożna znaleźć,

to suknię w drzwiach przytrzyma, to łyżeczkę zrzuci ze stołu. Na zapytanie, czy Rodziewiczówna widziała go kiedy, odpowiada z całą powagą:

— Widuję go dość często. Przychodzi do mnie na biurko i rozmawia. Ze mną mówi po polsku, ale dla reszty stworzeń ma dwa okrzyki: „Fa-ko-si!” co znaczy: więcej słońca i „Futam — Dzelem“, czyli: strzeż się sideli!

Mimowoli wierzymy. Taki Duszek jest tu zupełnie na miejscu.

Rozmawiamy. Poruszamy najróżniejsze tematy. Rodziewiczówna zachwyca się dziełem Axela Munthe'go „Księga San Michele“. Skarży się, że teraz tak trudno o dobre książki. Przywozi corocznie do Hruszowskiej biblioteki około trzystu tomów. Sama teraz nie pisze.

I znowu anegdotka:

Pewnego razu przyjechał do Hruszowej braciszek Pallotyn, zajmujący się rozprzedają książek i książeczek. Po rozmowie o zamilowaniach literackich braciszka, Rodziewiczówna kupiła kilka książeczek. Gdy podpisała listę, braciszek mówi: Rodziewiczówna... Rodziewiczówna, zaraz... zaraz... zdaje mi

się, że widziałem kiedyś to nazwisko na jakiejś książce...— Nie jednemu psu Łysek—odpowiedziała Rodziewiczówna.

Jest wesoła, pogodna, miła.

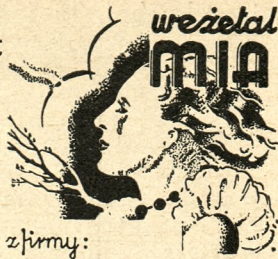
Rozmawiamy o pracach kółka rolniczego. To ważna placówka. Zagadnienia lnu i wełny są szeroko brane pod uwagę. Rodziewiczówna ma na sobie bluzkę sportową z własnego lnu i kostjum z własnej wełny.

— Honespun poleski — mówi z dumą.

Czas płynie. Dobrze nam w tym domku leśnych ludzi, w towarzystwie wielkiego umysłu, gorącego serca, przepięknego ducha i rzadkiej prostoty. Nie chce mi się odejść, patrzę i czerpię z niej siłę. Można się nauczyć wiele. Jak kochać Polskę, jak strzec swej ziemi, jak pracować dla przyszłości bez myśli o sobie. Promieniuje z Rodziewiczówny jakaś moc, jakaś miłość wielka, jakieś zapatwienie się w sprawy górne, mocne, nieprzemijające.

Przed odjazdem prowadzi nas do swego pokoju, który też odznacza się spartańską skromnością. Pokazuje nam poleskiego Chrystusika frasośliwego, rzeźbionego w drze-

niezrównany
środek na porost
wełnowy
USUWA ŁUPIEŻ
ZAPOBIEGA WYPADANIU
WŁOSÓW



wystrzegać się
naśladownictwa
prawdziwy tylko z firmy:

HENRYK ŻAK DOZNAŃ

wie. Stoi na biurku, gdzie nieraz Duszek domowy przysiadł na chwilę.

Ale trzeba się wkońcu pożegnać. Odjeżdżamy. Zachodzi słońce. Przedwieczorna cisza ogarnia ziemię. Reasumujemy nasze wrażenia: Rodziewiczówna to nie cześć słowa — to wzór czynu! Starego, codziennego trudu, nieefektownego, niebłyskotliwego, ale jakże owocnego, jak doniosłego w znaczeniu!

Kto chce się pokrzepić, kto chce się napić u źródła umiłowania ziemi ojczystej, niech jedzie do Hruszowej, niech spędzi parę godzin w domku leśnych ludzi, a doprawdy na wiele spraw innemi spojrzysz oczami.

Halina Hohendlingerówna.

Nowe miasto

Nie lubię wracać do tych samych miejsc. Widziane, przeżyte i opisane przestaje dla mnie istnieć. Jedynie Paryż wytrzyma każdą próbę. Jadąc poraz drugi do Inowrocławia rozważałam, co będę myślała, gdy tam wrócę. Tu nic nie myślałam.

Nazajutrz rano usunąwszy z okna, jako znane mi, kopułę garnizonowego kościoła, ceglany profil fary, zobaczyłam wiele gmachów i domów świeżo urosłych. Może nawet przed dwoma laty poznany Inowrocław wyda się nowym miastem, jeśli spojrzeć z innego punktu widzenia?

Poprzednio dałam się uwikłać przeszłości. Królowa Jadwiga prowadziła tu rokowania z Krzyżakami, Napoleon mieszkał pod najniższym dachem, Kasprowiec w taki jesienny, jak dzisiaj dzień, chodził z Szymborza piechotą, Przybyszewski był w szkołach. Zrywam z nimi, szukam ludzi istniejących w dzisiejszej rzeczywistości. Nie, z Napoleonem nie zerwę nigdy, dlatego, że pragnę, jak wygnaniec z wyspy św. Heleny „mourir en Napoleon“.

Z dawniej oglądanych miejsc odwiedziłam tylko cmentarz, jedynie dlatego, że nowo założony, musiał się więc rozrość. Rzeczywiście,

Droga Przebaczenia i Droga Zmartwychstania wysadzone są teraz wyższymi cyprysami topoli i kopcami tui, starsze wierzby u wrót płaczą, jak płaczą na grobie Musseta. Tylko żebraczki pozostały — średniowieczne żalobnice, w czarnych aksamitnych szalach, oszytych frendlami.

Pozatem cóż mnie zajmie w stolicy ziemi kujawskiej? Wybrałam się na akademię lotniczą. W programie zaciekawił jeden punkt: uczeń 8-ej klasy opowie wrażenia i uczucia młodych, czekających na wynik międzynarodowego turnieju lotniczego. Czytali gazety, siedzieli przy radjo, każdą wolną chwilę poświęcając roztrząsaniu możliwości, dyskusjom na temat technicznych wartości tych, czy innych aparatów. „My się na tem znamy lepiej od naszych ojców“. Bardzo wierzę! Wielu tych ojców - dygnitarzy siedziało w pierwszych, inni w ostatnich rzędach, ale wszyscy z szacunkiem i korzyścią słuchali, co mówił rówieśnik ich synów.

Z końcem lata widziałam ogłoszenie o dwuletnim dziale asystentek dietetyki przy miejskiej szkole handlowej żeńskiej w Inowrocławiu. potem przez radjo dyrektorka, pani Lewandowska, wygłosiła odczyt o tym nowym zawodzie dla kobiet.

Chciałam go poznać. Tak, nowy zawód dla kobiety, a dla nas wszystkich możliwość innego ustosunkowania się do jedzenia. Bo jest to strona życia, w której koniecznie trzeba zaprowadzić ład. Zaczynając od zdrowych i młodych, to też pierwszy kurs, to racjonalne przygotowanie odpowiedniego pożywienia. Następnie idzie najbardziej skomplikowana sprawa, po profilaktyce współdziałanie z medycyną, zapomocą wprowadzania do organizmu odpowiednich składników. Może wkrótce u nas, jak w wielu miejscach zagranicą regulamin szpitali, sanatorjów, uzdrowisk, wszelkich zrzeszeń wymagać będzie wykwalifikowanych osób do układania stosownego jadłospisu. Pesymiści nie wierzą w żaden program, uważając że pojęcie dobra czy zła mięsa, pomidorów i owoców wciąż się zmienia, a zatem której prawdzie wierzyć? Każda wskrzesza nadzieję, iż — na koniec — pomoże to, co dotąd szkodziło... Wierzyć zawsze warto.

Liceum dietetyczne, które dąży do przekształcenia się w instytut dietetyczny, pracuje różnorodnie. Więc przedewszystkiem szkoląc specjalistki. Nauka odbywa się w sposób ciekawy i bardzo żywo. Uczennice ćwiczą się w laboratorium

i w kuchni, tu i tam stykają się z najnowszymi systemami badań, mają do rozporządzenia „arystokratę” aparatów, wagi, miary, mikroskopy.

Każda sprawa brana jest zarówno z punktu widzenia teoretycznego, jak i praktycznego, świetne tablice graficzne własnego pomysłu naukowo wskazują stosunek części składowych pożywienia, przy kuchenice, która jest stacją doświadczalną, tworzy się z tych składników kombinacje nowych potraw. Wszystko co się robi, robi się celowo i mądrze. W sposób ułatwiony i higieniczny, taylorizm stosowany jest za pomocą specjalnych przyrządów do obierania kartofli, każdą pracę, — o ile się tylko da — wykonuje się, siedząc, co dla zdrowia kobiet jest rzeczą bardzo ważną. Prócz specjalistów nauki, chemji, towaroznawstwa, geografji gospodarczej i t. d. odbywają się pokazy filmów, w myśl zasady Cecile B. Mille, że zobaczyć, to uwierzyć. Pomysłowość i przedsiębiorczość dyrektorki, na każdym kroku widoczna, uderzyła mnie szczególnie, gdy p. Lewandowska mówiła, w jaki sposób nabywa filmy. „Wyświetlamy je przez jakiś czas za opłatą dla uczniów i uczenie innych szkół, za otrzymane pieniądze kupujemy coraz to nowe”. To jest doskonała próbka mądrej organizacji!

W czasie lata szkoła na wielką skalę wydaje obiady dla kuracjuszy, przestrzegając bardzo etyki dietetycznej, a jednocześnie dbając, aby chory, często nie mający apetytu, dostawał nie tylko odpowiednie jedzenie, ale też ładnie podane, smaczne i wciąż nowe. Kurasa dla pań domu i właścielek pensjonatu mają na celu reformę poglądów na jedzenie i menu. Dzia-



W laboratorium.

ła też na odległość, prowadzi korespondencję z osobami, zwracającymi się o poradę, na podstawie diagnozy, postawionej przez lekarza opracowuje dietę, jednocześnie służąc przepisami. Od grudnia wychodzić będzie miesięcznik, omawiający wszystkie sprawy związane z dietetyką.

Szkoła bierze udział w pokazach zbiorowych i urządza własne wystawy. Wkrótce w związku z kampanją buraczaną odbędzie się wystawa cukru. Jakkolwiek mówiła mi p. Lewandowska, iż używają bardzo wiele syropu ziemniaczanego, starając się wyrobić mu prawo obywatelstwa. Olbrzymie kwadraty kujawskiego czarnoziemiu, wykropkowane drzewami wydają buraki; mają one zbyt i stosunkowo nie spadły tak w cenie, jak „perki”, którymi zasadzone nie tylko wielkopolskie a całej Polski łąny. Otóż

chodzi o to, aby je zużytkować, przemienić na produkt dobry i niedrogi, a w ten sposób ludzie, odmawiający sobie przetworów owocowych, będą mogli jadać kompoty.

Dziś, przy skomplikowanej gospodarce i zburzonych podstawach ekonomicznych, żadna instytucja nie może pracować w oderwaniu od całości gospodarstwa państwowego, liceum dietetyczne, dążące do tego, aby stać się instytutem dietetycznym bardzo to dobrze rozumie i może dzięki temu rozwija się tak wszechstronnie i bogato.

Druga nowa instytucja, z jaką się zapoznałam w Inowrocławiu, to Uzdrowisko „Ubezpieczalni Krajowej”. Zbudował go Poznań dla swych chorych, z rozmachem dobrych lat, gdy Polska stawiała gmachy w dobie kryzysu trudne do sfiansowania.

Uzdrowisko przeznaczone dla ubezpieczonych przyjmuje też chorych prywatnych. Kąpiele i zabiegi są na miejscu, więc posiada wszelkie warunki higieniczne i estetyczne, żeby pomyślnie odbyć kurację. Uderzyła mnie jedna rzecz, nieznaną dotąd, prowadząca do naturalnej demokracji. W wielkiej sali jadalnej spotykają się wszystkie stany. Pierwsze śniadanie to przegląd różnych warstw. Starsze poznaniaki z powagą zjawiają się w dostojnych „porannikach”, wsuwa się zakonnica w habicie, gdy my wchodzimy w pizamach. Baby ludu noszą kaftaniki, dziewczęta ubierają się źle, to znaczy modnie, ale bez gustu. Kobiety różniczkują swe pochodzenie zewnętrznym wyglądem, między dyrektorem a robotnikiem różnica polega na materjale i piękności kroju, ale obaj noszą marynarki. Wszyscy siadają przy małych stolikach. Badam psychologję sąsia-



W spiżarni.

dów zadowolonych i niezadowolonych. Malkontenci dzielą się na dowcipnych, tragicznych i nerwowych. Bodaj, że ci są najgorsi! Zatrzuwając życie usługującym i sobie. Ludzie najbardziej zdradzają się przy jedzeniu. Mniej gdy spacerują po wygodnych jasnych korytarzach, gdy w czytelni przeglądają pisma, biorą książki z wypożyczalni, słuchają radja. Choć radjo to też wskaźnik humorów!

Porywisty wiatr kujawski hula po ziemi i niebie, rolując eskadry chmur. Sezon skończony, komisja zdrojowa pracuje, układając plany rozbudowy na najbliższą przyszłość. W parku zjawia się ktoś, żeby zobaczyć, jak stoi barometr, poza-tem czapla już tylko i paw spacerują. Nie biały paw widziany w Barcelonie, ale normalny, nawet z krótkim ogonem. Idę do miasta Solankową ulicą, wśród domów - willi na ścianach których rozpięte są makartowskie bukiety czerwonych liści dzikiego wina.

Kioski udekorowane dziś żółtymi płachtami papieru, na nich czerwone litery. Barwy przedrewolucyjnej Hiszpanji. W Paryżu szukam porównań, jak Telimena w biurku dowodów, w Hiszpanji tylko przypadkowo, np. teraz dlatego, że wciąż w ogniu. Afisze ogłaszają: „Aleksander Janta Połczyński, znakomity podróżnik i pisarz, pierwszy polski korespondent wojenny na Dalekim Wschodzie, mówi na temat „Azja grozi“.

Wchodzę na najbardziej ruchliwą ulicę Królowej Jadwigi i patrzę, kto pójdzie na ten odczyt? Ci dwaj robotnicy z warzelni soli, a może huty szklanej, naprzemian z równą łatwością rozmawiający po polsku i niemiecku, panienci z pralni, gdzie dotąd odbywa się „preze-



Stacja doświadczalna

nie firanek“, urzędnik z Wydziału Powiatowego, wzorem Malboga zbudowanego na landraturę, za czasów, gdy Inowrocław nazywał się chwilowo Hohensalza, czy ten najpiękniejszy w świecie officer, o niezbadanej przezemnie randze? Jaka jest różnica między talentem a urodą? Do tenora można podejść i najbanalniej w świecie pochlebnie powiedzieć, że „głos ma cudny“, a nie wolno wyrazić zachwyty ślicznej głowie i zbadać fakt, jak w niej mózg funkcjonuje.

Może na ten ciekawy odczyt wybierzy się mieszkaniec ulicy Przybadek, albo dziedzic - wąsał, przyjeżdżający z sąsiedztwa w archaicznej karecie, uczeń gimnazjum Kasprowicza, który nie wiem dlaczego na końcu zdania — jeszcze — w formie zapytania stawia niemieckie: nie? Przybyszewski z szyldu restauracji „Tunel Kujawski“, albo

jego rywal Dobrasz, wzywający przychodnich „Do Kumotra“. Najpewniejsza ta starsza pani, którą spotykam w księgarni Knasta, żywiąca serdeczną, przedwojenną miłość do pracy twórczej. Ja też idę. Choć postanowiłam pożegnać się z odczytami. Coraz częściej wydaje mi się, że sztuka czy nauka potrzebne są nam — bez człowieka. Bez widoku śpiewaka, który, choćby był Kiepurą, nie wie co zrobić z rękami i bez mimiki prelegenta. Zdaje się, że wkrótce niezdeforowany płytą czy radjem głos ludzki stanie się czemś tak przestarzałym, jak klawikord Landowskiej.

A jednak uległam urokowi żywego słowa żywego człowieka! Na wyrazistej twarzy zobaczyłam odbicie widzianych ludzi, młody głos powtarzał rozmowy z dygnitarzami i starcami, nieomal stawał koło siebie mandaryna, chwalcącego chińską kuchnię, że wytworna, bo doskonali się już 4 tysiące lat.

Ktoś wrócił z innego świata i do naszego przynosi zebrany tam niepokój.

„Azja grozi“. Chiny bezwładnością swej masy, Japonja wyrobieniem jednostki. Chiny — samowystarczalnością, Japonja — zalewem naszych rynków najlepszym i najtańszym towarem.

Jest 9-ta i pół, gdy wracam do Uzdrowiska „Ubezpieczalni Krajowej“. W mieście już cicho. Ci co nie poszli na odczyt, śpią. Inowrocław jest bardzo rozsądny. Gdyby mnie ktoś dał 1.000 złotych i kazał je wydać, byłabym w niemałym kłopotcie. Kupić samochód? Nie wystarczy. Jakie inne można popelnąć tu szaleństwo? Pójść na stację i wziąć bilet do miasta, naprawdę nowego, nie bojąc się żadnej groźby...

Aura Wyleżyńska.



Kurs pierwszy (gotowanie).

Wystawa sztychów angielskich

Koniec XVIII w. i początek XIX w Anglii to schyłek rokoka, przeradzającego się w sentymentalizm. Podczas gdy we Francji, oddzielonej wąskim „rękawem“ Kanału, szaleje Wielka Rewolucja, na wyspach brytyjskich życie zdaje się rozpląwać w sielance. Przynajmniej tak mówi owa kolekcja sztychów (150 egzemplarzy) zaprezentowana nam w Domu Sztuki.

Z pojęciem sztychu angielskiego łączy się niemal zawsze pojęcie sceny, anegdota, ilustracji jakiegoś faktu z życia codziennego, z życia salonu lub wiejskiej fermy. Rzadko zdarzy się portret stylizowany (n. p. niesłychanie lekkie w rysunku i delikatne w kolorystyce portreciki dwóch księżniczek Watsena, albo portret panny Morland, księżniczka Walji i t. p.

Same tytuły wprowadzają nas odrazu w tę nieco ekliwą, przesłodzoną atmosferę angielskiego domu z epoki. „Dziecinne igraszki“, „Nadzieja Matki“, „Szczęście małżeńskie“, „Wizyta u Babki“, „Wizyta u wujaszka“, „Wizyta u Dziadka“, „Wizyta u Ciotki“, „Kochasz ojca“, „Rezultaty dawnego przemysłu i oszczędności“, „List miłosny“, „Zbłąkane dziecko“, „Powrót zbłąkanego dziecka“, „Powinszowanie“, — szablon tytułów doskonale harmonizuje z konwencjonalizmem treści, uplastycznionej z teatralnym patosem. Słowo „scena“ co chwila ciśnie się na usta przy oglądaniu tych małych arcydzieł minoderji.

Ta sama teatralność gestu i kostjumu panuje w tematach wiejskich. Piękne damy i śliczne angielskie „babys“, przebrane za gosposie i pastuszków, bawiące się z ufryzowanymi jagniętami i z porcelanowym drobiem, czasem jakiś tęższy mężczyzna w malowniczej kurcie, przypominający raczej dżentelmeński kostjum myśliwski, niż wiejski kaftan robo-



„Igraszki dziecinne“.



„Owoce danego przemysłu i oszczędności“.

czy, oto zasada tego perfumowanego baletu, gdzie kompozycja pól i nieco jednostajna harmonja barw zastępuje taniec i muzykę.

Te „Wiejskie posiłki“, „Zbiory owoców, chrustu, grzybów“, „Zaginione owce“, „Powroty rozbitków“, „Młodych rybaków“, „Zmęczonych myśliwych“, sceny w oberżach, wiejscy rzeźnicy, powroty z targu, ulubione kureczka, króliki i t. d. odzwierciedlają tylko jedną stronę życia wiejskiego, jakby z punktu widzenia czułości podlotka, nie człowieka dojrzałego, który zdaje sobie sprawę z trudów rolnika, z jego walki z naturą, z jego znoju, nadziei i zawodów. Ale i tutaj są wyjątki. „Chciwy intendent“, — to już nie sielanka, to protest przeciw wyzyskowi i poniewieraniu ludźmi pracy. Echo Rewolucji przepłynęło Kanał.

A oto zupełna rewelacja w dziedzinie sztychów. „Przejazd przez Alpy“. Duża, szeroko traktowana kompozycja pulsuje ruchem, życiem, prawdą. Doskonale tło skał i kłębiących się chmur, takich chmur, które można widzieć tylko na szczytach. Kontrastem tej dzikiej surowej natury jest postać młodej kobiety na mule, wspinającym się skalną drożyną. Wiatr zrywa kapelusik elegantki, która w stroju spacerowym przebywa Alpy. Niżej widać podążającego za nią przewodnika, który prowadzi drugiego muła.

Specyficzny ostry smak mają trzy karykatury Rowlandsona! „Zawiedziony Epikur (świetne gęby smakoszków rozłoszczonych na widok półmiska z przysmakami, padającego na podłogę)“, „Teatroman“: „Loże teatralne z r. 1795“. To galerja ludzkich pokrak, groteskowy odpowiednik tamtej lukrowanej i lukrecjowej rzeczywistości.

Dodać trzeba, że sztychy, wystawione w Domu Sztuki, należą do pierwszorzędných w swoim stylu. Warte są obejrzenia nie tylko przez amatorów i znawców, ale i przez laików, chcących spędzić godzinę w „świecie uludy“ sentymentalnej.

Głód marzenia

(Korespondencja z Wilnā.)

W pierwszych dniach listopada odbył się w Wilnie Zjazd działaczy kulturalnych z obszarów byłego Księstwa Litewskiego, a z udziałem przedstawicieli Warszawy w osobach: p. Irzykowskiego z Akademii Literatury oraz p. radcy Zawistowskiego.

Zjazd odbywał się w ukwiecionej i przepelnionej gośćmi sali Związku Literatów, a zainicjowany został przez Wileńską R. W. Z. A. (Radę Wil. Zrzeszeń Artystycznych).

Zdaje mi się, iż większe ośrodki, żyjąc rozpędem dnia i brakiem czasu, nie widzą i nie wiedzą, jak tam daleko wśród jesiennego błota, wiosennych roztopów i zimowych zamieci zwolna narastają zagadnienia i potem dojrzałe mogą się zwalić na obojętną stolicę. Jest tych zagadnień tak wiele! Gdy zwiedzałam gim. im. Batorego w Warszawie, przymknęłam oczy, aby wyobrazić sobie na wsi ponurą izbę, w której pracuje z dwiema zmianami dzieci, młoda nauczycielka z odmrożonemi rękoma, a za drzwiami, w zimnej sionce, czekające na tę drugą zmianę, nędzne i obdarte dzieci. Na prowincji jest coś, aż do bólu bohaterskiego. Ile razy tam się zajrzy, człowiek chodzi potem z poczuciem winy i niespełnionego obowiązku, chociażby nie był nic winien.

Miasta zresztą — w osobie różnych działaczy — rozumieją swój obowiązek. Ież to rozmaitych stowarzyszeń pracuje „w terenie”. Wśród nich bardzo dużo robi Z. P. O. K. Ratuje się widomą, niechłujną nędzę materialną, wyciąga się ludzi z ponownego analfabetyzmu, chociaż jeszcze 7 milionów analfabetów chroni się po zakątkach Rzeczypospolitej. Dużo się robi dla prowincji, ale jest ona w Polsce, jak nieobjęte morze, więc czasami się zdaje, że nie robi się prawie nic. Lecz na tej prowincji jest jeszcze jedna sprawa, na którą zamyka się oczy bezradnie. To prowincjonalna inteligencja. O jej doli wiem tak dużo, że to mi utrudnia mówienie.

Po zagajeniu Zjazdu przez prorektora U. S. B. prof. Czeżowskiego wyszła na estradę autorka regionalnej powieści „Zwycięstwo Józefa Żołędzia”, Niedziałkowska-Dobaczewska. Miała mówić o celach Zjazdu i o przyczynach, dla których został zwołany. Dotknęła bolączki, którą każdy omija. Powiedziała o „niedokarmionej inteligencji”, która pracuje dla szerokich mas. Dotychczas nikt się nią nie zajmował. Jest ona zawsze niezawodna, najczęściej do ostatniego tchu wierna, błagająca o jakakolwiek

W budżecie ogłoszeniowym

firm szukających właściwych dróg do prowincjonalnego klienta nie może braknąć wielkiego, ilustrowanego dziennika

„Express Lubelski i Wołyński”

**XII-ty rok wydawnictwa
Najwyższy nakład na terenie
Wojew.: Lubelskiego i Wołyńskiego**

Bliższe informacje, egzemplarze okazowe, prospekty kosztorysy ogłoszeń, wykazy i referencje dotychczasowych inserentów odwiedźmy akwizytorów na każde żądanie.

Adres wydawnictwa: **Lublin**, Kościuszki 8, tel. 360.

Informacje w Warszawie przez telefon 9-28-82.

radość życia, a taka ciągle bezradna w spełnianiu obowiązku wśród niezliczonych trudności.

Ciągle musi dawać „szerokim masom”, a kto jej cokolwiek daje na odległej prowincji?

O tej bezradnej warstwie mówił referat p. Dobaczewskiej. Dla nich został zwołany ten Zjazd. Potrzebom tych jednostek poświęcona być musi praca *Izby Kultury*, którą zaprojektował Zjazd. Głód duchowy zapomnianych na prowincji ludzi woła o pomstę do nieba, tembardziej, że ci ludzie są zasługujący przez obowiązek pracy społecznej, a odruchy, wzywające o piękno życia, uważają wręcz za zdradę sprawy. Pani Dobaczewska miała odwagę zażądać sprawiedliwości i miejsca na świecie nawet dla tych jednostek, które nie potrafią być dobrymi społecznikami, bo wiem ciągnie ich świat inny — barw, rytmu, dźwięku i harmonji, tęskny czar sztuki, pragnącej najpiękniejszego wyrazu. Ież to zdolności marnuje się na prowincji, iluż ludzi obumiera po bezskutecznym dobijaniu się do zamkniętych drzwi.

A właśnie autorka „Zamkniętych drzwi”, pani Nadzieja Drucka (O'Brien de Lacy) z Grodna była na Zjeździe i też stwierdziła ten głód duchowy prowincji, którą należy ratować, budząc ginące zainteresowania kulturalne.

Dużo się mówiło na Zjeździe o ratowaniu i krzewieniu kultury, ale żaden referat nie zrobił na mnie tak silnego wrażenia, jak ten

pierwszy, który w imieniu tęskniącej, ubogiej i zapoznanej inteligencji, wołał o zaspokojenie trawiącego „głodu marzenia”.

Byli na Zjeździe przedstawiciele Białegostoku, Grodna, Wilna, oraz Nowogródka, Głębokiego, Święcian, Trok, Mołodeczna i innych miasteczek. Jeden głos z Bojar, głębokiej prowincji w litewskiej stronie święciańskiego, zrobił silne wrażenie przenikliwym obrazem bytowania inteligencji na tamtym gruncie. Wiejska chata, brak prymitywnej higieny, ludzie niechętni i nędzni i ta straszna tęsknota za czemś lepszym, połączona z upadkiem wiary we własne siły; tembardziej, że się widzi postęp wpływów litewskich i białoruskich, zmniejszenie polskiego stanu posiadania.

Czyż nie trzeba — w myśl referatu p. Dobaczewskiej — nakarmić inteligencję, „nakładować ją promienistością”, aby wypromieniować mogła coś, co porwie i wruszy obojętne lub wrogie otoczenie. Oto, po co się pragnie powołać „Izbę Kultury”, o którą Zjazd uchwalił prosić Ministerstwo. Poto ma być, aby mogła „rozprowadzić żywą wodę ducha poprzez niezliczone kanały i kanaliki po całym kraju”. Izba ma być oparta o Uniwersytety, Zrzeszenia artystyczne i Towarzystwa naukowe.

Piękna myśl! Nie wiem, jak i kiedy się ucieleśni, ale dobrze jest, że się głośno zawołało o ludziach, konających z głodu, z niezwykłego „głodu marzenia”.
E. K. M.

Trzy autorki dramatyczne, których sztuki wystawiono ostatnio na scenach warszawskich

Marja Morozowicz-Szczepkowska.



Marja Paolikonowska - Jasnorzewska.

Ewa Szelburg - Zarembina.



Z ubiegłego tygodnia

Nota jugosłowiańska przeciw Węgrom. — Ostre słowa mogą wywołać wojnę. — Mocarstwa łagodnymi słowami będą przeciwdziałać. — Pakt wschodni na horyzoncie. — Saara się zbliża. — Konwenanse.

Do sekretarjatu Ligi Narodów wpłynęła nota rządu jugosłowiańskiego, domagająca się potępienia Węgier za udzielenie pomocy terrorystom chorwackim, których dziełem był mord marsylski. Rząd jugosłowiański domaga się również satysfakcji od rządu węgierskiego za tę wielką stratę, jaką Jugosławia poniosła przez śmierć króla — bohatera i zjednoczyciela państwa.

Wiadomo było powszechnie, że w toku śledztwa, a jeszcze przedtem w akcji poszukiwania morderców króla, wyszły na jaw fakty nieprzyjemne dla Węgier. Podobno Węgry udzielały azylu terrorystom chorwackim, podobno osoby, zamieszane w sprawę zabójstwa króla Aleksandra, doznawały ułatwień i opieki na terytorjum węgierskiem. Na te posądzenia zareagowały Węgry oburzeniem, mimo to, spodziewano się wystąpienia Jugosławji na najbliższej sesji Ligi. Nikt jednak nie oczekiwał tak ультимatywnego tonu, popartego w dodatku przez artykuły w prasie jugosłowiańskiej. Tymczasem zaledwie minął sześciotygodniowy oficjalny termin żałoby, sprawa wybuchła z taką siłą, że sejsmografy polityczne znaczą — bodajże groźbę zatargu wojennego.

Tragiczny zgon króla jugosłowiańskiego nie został więc zamknięty tylko w żałobnych uczuciach narodu. Zgon ten ma swoje dalsze działanie w politycznych obrachunkach, a nota do głębi dotkniętego

narodu mocno precyzuje swoje zarzuty przeciw sąsiadowi. Według informacji angielskich, ton noty miał być jeszcze ostrzejszy i ministrowi spraw zagranicznych Francji udało się z trudem nieco załagodzić jej brzmienie.

Niewątpliwie będzie to pierwszym zadaniem Ligi, żeby konflikt, tak bardzo niebezpieczny, nie zburzył pokoju Europy. Może jednak przy tej sposobności zajmie się Liga ogólnie zagadnieniem azylu dla terrorystów. Po wojnie w niejednym kraju udziela się przytułku i opieki irydyntom, których działalność zaznacza się zamachami.

Notę jugosłowiańską poparły Rumunja i Czechosłowacja, co również wskazuje na to, że konflikt może przybrać szersze rozmiary. Stanowisko Węgier określił premier Gömbös w wywiadzie, udzielonym Węgierskiej Agencji Telegraficznej. Odrzuca on oskarżenie i protestuje przeciw postępowaniu rządu jugosłowiańskiego, który poczynił zarzuty bez przytoczenia rzekomych dowodów, bez poinformowania rządu węgierskiego o treści dokumentów, które posłużyły za podstawę do tych zarzutów.

Sprawą noty jugosłowiańskiej zainteresuje się niewątpliwie Italja, dla której posunięcia polityczne Jugosławji nie są bez znaczenia. Zresztą t. zw. wielkie mocarstwa, więc i Francja i Anglja będą się starały wpłynąć uspakajająco zarówno na Jugosławję, jak i na dwa inne państwa Małej Ententy. Znamienne jest, że prasa niemiecka ocenia sytuację, jako bardzo poważną, wskazując na widoczne już „rozgrupowanie“ zainteresowanych państw: z jednej strony Jugosławia z państwami Małej Ententy — z drugiej Węgry i Italja.

Nie poraz pierwszy w historii wojna, oczekiwana w innej konfiguracji, nagle

zmienia miejsce wybuchu i, wbrew wszelkim przewidywaniom, prowokuje dla siebie moment, aby zaskoczyć — dyplomację i wszelkie zapobiegające wysiłki. Okazało się bowiem i teraz, że Francja nie potrafiła całkowicie wpłynąć na sojuszniczkę Jugosławję, mimo, że dla Francji w tej chwili konflikt wojenny nie byłby pożądany.

We Francji, po ustąpieniu Doumergue'a i po niejakiem uspokojeniu się opinii publicznej, ekscytowanej w dniu święta zawarcia pokoju marszem oddziałów „Ognistego Krzyża“, któremi zadziwił Paryżan pułkownik La Roque — najbliższą troską jest Saara. Troska ta ogniskuje w sobie politykę Francji i zmusza do przygotowań, względnie do realizacji dawniejszych planów politycznych. Z takiego nastawienia wynika zapewne odnowienie projektu paktu wschodniego, który obecny minister spraw zagranicznych Laval znowu lausuje. Chodzi tu przede wszystkim o zjednanie Polski dla tego projektu, nie leżącego całkowicie na linii naszej polityki.

Ostatnie wystąpienie Laval'a, zapowiadające wydalenie robotników cudzoziemców z Francji, szczególnie dotknęło Polskę, do której od lata b. r. wracają pozbawieni we Francji pracy liczne rzesze reemigrantów, przeważnie nędzarzy. Interwencja ambasadora R. P. u ministra Laval'a powinna wpłynąć na sfery rządowe Francji, żeby masowem zwalnianiem robotników polskich nie przysparzały trudności swojej sojusznicze. Bo przecież ciągle jeszcze słyszemy i czytamy, że Francja uważa się za — sojuszniczkę naszą i że jej na utrzymaniu dobrych z Polską stosunków zawsze jeszcze ogromnie zależy. Czyżby to były tylko konwenanse?

H. N.

Z teatrów

Teatr Nowy: „Igraszki Muzyczne“, Ronalda Machensiego w przekładzie Florjana Sobieniewskiego.

Niewyraźnie czują się ludzie na sztuce, podczas której co chwila zdaje się im, że ktoś tu jest pomyłony: autor, reżyser, aktorzy, może wreszcie sami widzowie. Te „Igraszki muzyczne“ to wogóle wielkie nieporozumienie młodego autora. Ibsen? Przybyszewski? Wilde? Kto jeszcze stał nad jego kołyską?

Takie mętne historie erotyczne, rzucone w dodatku na tło muzyki, już raz się zdarzyły w tym samym Nowym teatrze, ale ponieważ dosyć niezręcznie wysnuł je polski autor, więc je wyśmiano bez pardonu. Obecnie, ponieważ bzdurzy Anglik, a celebrytuje reżysersko Schiller, więc publiczność słucha w skupieniu tej koszmarniej historii o angielskich groszrobach, którzy wiercą szyb pod Stanisławowem poto, żeby, kiedy im nafta tryśnie, czempredziej sprzedać teren i wiać do ojczyzny.

W tym dusznym angielskim home'ie, którego zatechłą atmosferę naładowuje pasją, melancholią i grozą ten „okropny“ polski klimat (same burze, albo na zmianę trzydniówki i powodzie) jest jeden człowiek z innego świata, człowiek, którego wypadki wojenne wyrzuciły poza nawias życia. I on to swoją muzyką akompaniuje przelomowym momentom sztuki.

Czy to jest wytłomaczenie tytułu „Igraszki muzyczne“? Bynajmniej! To znów nieporozumienie! Chodzi o grę towarzyską, której uczestnicy chodzą w takt muzyki, a gdy muzyka milknie, wszyscy dopadają krzesel. Jeden zostaje w kole. Brak odpowiedniego komentarza uczynił z tytułu dziwoląg.

Sztuka jest skomplikowaną gwiazdą, ułożoną z trzech trójkatów, trzech konfliktów miłosnych. Najprzód starszy pan zdradza swoją nudną i ekliwą żonę z młodą i cwana służącą - rusinką. Trójkąt pierwszy.



Kunciewiczówna i Damięcki w „Igraszkach muzycznych“.

Syn pani z pierwszego małżeństwa przywiózł sobie z Ameryki narzeczoną, wyzdaną pannicę, która zdradza go z synem pana z pierwszego małżeństwa, właśnie z tym zwarzowanym grajkiem. Trójkąt drugi. W tym samym młodzieńcu kocha się beznadziejnie Marja, córka pani. Trójkąt trzeci. W pewnym momencie zjawia się na scenie businessman z Ameryki, budząc wśród widzów zrozumiały niepokój. Z kim u licha ten będzie romansował? Ale łańcuch jest już zamknięty. Śmierć muzyka rozwiąże go tragicznie.

Reżyserja Schillera poszła po linii krańcowej nastrojowości. Synkopy w dialogach, hojne szafowanie błyskawicami i piorunami, autentyczny deszcz za oknami, wymowne milczenia — wszystkie te efekty, doprowadzone do absurdu, zaciążyły nad przedstawieniem jak chmura. Była to guma do żucia, zaprawiona sowiecie gorczyczą. I kiedy starszy pan Schindler w rozciągniętym aż do bólu epilogu zatrzasnął nareszcie

jak wieko trumny, wieko niepotrzebnego już fortepianu, — doznaliśmy ulgi.

Sztuka była obsadzona nierówno. Jeden Stanisławski doskonale wlaźł w skórę Angleżowanego Niemca. Dulebianka przeszarżowała tępotę nudnej żony. Kunciewiczówna zrobiła jakąś wyrafinowaną młodopolską chimere, zamiast krwistej, nigdy nie sytej użycia, bezczelnej amerykańskiej samicy. Grabowska zbyt mocno podkreślała chorobliwość typu Marji, a scenę ataku nerwowego odegrała tak, że po kilkunastu przedstawieniach można się u niej obawiać hysterji. Damięcki był za mało chwiejny i wiotki jak na powojennego Hamleta. Balcerkiewiczówna starała się być żywiołową i szczwaną zwierzątkiem, ale to jej się niezawsze udawało.

Sztuka ciekawa, jako eksperyment reżyserski, psychologicznie daje bardzo mało. Krąg ludzi, spiętych w koło udręczeń bezmyślną fatalnością, jest widowiskiem przynębiającym.

„Kwiecista droga“, Katajewa w teatrze Letnim.

Na tę komedjo-farsę warto iść dla trzeciego aktu, który stanowi zamkniętą w sobie całość, — beczkę, naładowaną komizmem świeżym, jak rosyjski kwas i dotychczas na scenie niewyzyskanym. A prawda! „Banda“ poznała się na tym kwasie, wystawiając w ostatnim programie rewjowym ten akt, jako samodzielny sketch, p. t. „Futro“. Ale na tem koniec. Reszta to bańka.

Nie możemy się dziwić, że młodzi pisarze sowieccy, — pierwsze pokolenie w kulturze, — z rozczulającą radością odkrywają Amerykę w pięćset lat po jej odkryciu, ale my tego nie jesteśmy ciekawi. Konflikty małżeńskie i erotyczne „Kwiecistej drogi“ nie starzeją się coprawda nigdy, ale artystycznie i teatralnie dawno u nas są przewyciężone. A co się tyczy żerowania na ideologii i łatwowierności ludzkiej, to my w tym zakresie mamy swoich własnych speców, którzy żonglerkę ideałami dopro-



Maszyński, Różańska i Znicz w „Kwiecistej drodze“ Katajewa.

wadzili do wysokości kunsztu. Na jednym tylko punkcie zgodnie pokrywają się płaszczyzny naszych i sowieckich stosunków, oto w zakresie współżycia obu płci. I u nas i w Bolszewji zaczyna w zastraszający sposób rozmnażać się typ mężczyzny, który pod maską wzniosłego marzycielstwa przemycy najpospolitsze hochsztaplerstwo, sybarytyzm i donżuanerję. Bohater sztuki Zawiałow, pospolity uwodziciel i spódniczkarz, to poprostu zadekowany gigołak, jeden z gatunku owych „przyżenających się” próżniaków, od których roi się i u nas i na zachodzie.

Galerja typów kobiecych sowieckich u Katajewa jest dosyć bogata. Ciekawe, że najsympatyczniej przedstawiają się matki, czyli starsze pokolenie. Eks burżujka — obecnie urzędniczka Inturista i wieśniaczka — komsomółka, jako żona Zawiałowa to typowa kobieta przeszłości, która nie rozumie życia bez oparcia się moralnego i materialnego o mężczyznę, jej rywalka, to młodzieńki i lekkomyślny gąsiątko ledwie wyklute z „jaczki”, a... to typ gęsi międzynarodowej pozującej na łabędzia.

Rolę Zawiałowa, deklamującego do znużenia o „Kwiecistej drodze” zagrał Maszyński z dużym tupetem, ale charakteryzacja nie odpowiadała naszemu pojęciu uwodziciela, ulubieńca kobiet. Doskonałym w swoim spokojnym, poważnym komizmie był Znicz. Kobiety poprawne. Całość, szczególnie pierwszy akt domaga się gwałtownie skrótów. Zyska na tem problematyczne powodzenie sztuki.

S. P. O.

Przegląd prasy

NOWY OŚRODEK WYTWÓRCZOŚCI
KOBIECEJ.

W Zwierzyńcu nad Wieprzem, w majątku hr. Zamoyskiej, uczennice Krakowskiej Szkoły Przemysłowej wskrzesiły wytwórnictwo płócien ludowych, w warsztatach tkackich, które od dłuższego czasu stały bezczynne.

Oto jak pisze p. Janina Feldmanowa w dodatku kobiecym w „Il. Kurjerze Codz.” o wystawie tych prac:

Coraz wyższe gatunkowo i artystycznie wyroby Zwierzyńca zachęciły dyrekcję Krakowskiego Muzeum Przemysłowego do urządzania wystawy, która pozwoliła szerokiej publiczności wyrobić sobie pojęcie o artystycznych tendencjach nowego, a tak już twórczo skryształowanego ośrodka. Na okrasę dodano jeszcze dział haftu kościelnego, który posiada swoje specyficzne, a bardzo interesujące zagadnienia.

Wystawione w Muzeum tkaniny, makaty, dywany, poduszki, obicia meblowe — uderzają wysoką kulturą artystyczną nie tylko w rysunku, ale przedewszystkiem w kolorze. Len nie znosi barw intensywnych, staje się bowiem przez długie moczenie w farbie kruchy. Dzięki tej jego właściwości,

JEDWABISTĄ, MATOWĄ CERĘ



zachowa Pani, stosując płyn SIMI, który nadaje cerze świeżość i urok młodości, usuwa węgry, pryszczki i zmarszczki oraz odtłuszcza skórę.



wszystkie owe świeżo wykonane tkaniny są jakby zmatowane, spatynowane, noszą na sobie piętno jakby jakichś dawnych wyrobów, skądś z antykwariatów wydobytych na światło dzienne. Śliczne odcienie niebieskiego, wpadającego w stal, różowego, seledynowego, przedziwnie harmonizują ze złotą lub srebrną nicią, którą są przetykane. Owe szczęśliwe zestawienia pozwalają na zastosowanie wyrobów Zwierzyńca zarówno do mebli antycznych, jak i najbardziej nowoczesnych.

Techniczne możliwości, na jakie pozwalała w zakresie komponowania rysunku warsztat tkacki, rozszerzyły się dzięki t. zw. broszowaniu. Bogactwo efektów malarskich powiększa się przez dodatkowe użycie różnorodnych materiałów, jak np. juty, jedwabiu i innych. Rodzą się zresztą coraz nowe pomysły, bądź w zakresie techniki wykonania, bądź w zestawieniu materiałów.

Ten sam materiał i ta sama barwa, użyta w kilku rozmaitych ściągach, daje rozmaity efekt malarski. Jest to coś, jakby „widzenie ścięciem” przez artystkę.

Drugim zagadnieniem, które przewija się w studjach p. Szarlowskiej, to kompozycja haftu maszynowego. Pogodzić maszynę ze sztuką, to wysiłek długich pokoleń artystów. W dziale haftu kościelnego dążenia te znalazły szczęśliwe rozwiązanie w projektach, przedstawionych przez p. Szarlowską.

W Kurjerze Porannym z dnia 20 paźdz. b. r., w reportażu p. t. „W Kuźni wyroków” z cyklu „W walce z plagą żebractwa i włóczęgostwa”, wśród opisów nędzy niedołączonych starców, skrajnej rozpaczki bezrobotnych, spotykamy następujące obrazy:

Oto 28-letnia kobieta staje przed stołem sędziowskim z rocznym dzieckiem na ręku. Ładna twarz zalana jest łzami. Z ust wyrzają się niecierpliwie słowa:

— To jest omyłka panie sędzio. Mój mąż pracuje. Ja mam jeszcze dwoje dzieci w domu.

Cichy płacz przechodzi w głośny lament. A maleństwo na ręku śmieje się i gaworzy. Policjant zaprzecza słowom oskarżonej.

Nie stała przypadkowo na stopniach kościoła, a żebrała. Chowala się przed nim wewnątrz kościoła, bo czuła się tam bezpiecznie. Ale on ją zatrzymał na ulicy.

Policjant wypełnił otrzymany rozkaz. W tej chwili jednak sympatja, mimo wszystko, skupia się na oskarżonej. Grozi jej dom pracy przymusowej, bo poraz drugi staje tu przed sądem.

— O moje dzieciątka kochane! — szlocha zrozpaczona matka. I wszyscy myślą o trójce drobnych dzieci, które pozostałyby w ciągu paru miesięcy bez niczyjej opieki.

Lecz prawo daje się nagiąć do płaszczyzny ludzkiego wyrozumienia. Sędzia ogłasza wyrok z zawieszeniem, i daje przytem krótką, a mocną przestrożę.

I inna młoda dziewczyna zasługuje na specjalną sądu uwagę. Łzy tamują jej słowa. Przyjechała parę dni temu ze wsi za pracą.

— Trzy dni nic nie jadłam i nic nie piłam. Chodziłam po ulicach, myślałam, że robotę znajdę.

Sędzia ogłasza wyrok. Dziewczyna płacze coraz rzewniej. Nie dosłyszała słów — „z zawieszeniem”.

Powyżej przytoczone ustępy świadczą wymownie o położeniu młodej kobiety samotnej lub matki opuszczonej.

POLSKA LEKARKA W CHINACH.

Pani dr. Jadwiga Szermecka, lekarka w misjach katolickich w Chinach, udzieliła wywiadu wyślanicznemu Kurjera Poznańskiego, opowiadając o swej praktyce w państwie Żółtego Smoka:

Pojęcia i obyczaje chińskie — począwszy od etyki, a skończywszy na zwyczajach towarzyskich — wszystko wydało mi się zrazu nieprawdopodobnym zdarzeniem.

W początkach mego pobytu w Chinach, kiedy byłam w oddziale trzeciej klasy, do moich uszu doszedł przerażający jęk chorego. Zamierającym z bólu głosem prosił o wodę. Wzięłam do rąk szklanke, nalałam wody i podałam biedakowi. Towarzyszący mi pielęgniarze osłupieli, a i wśród reszty otoczenia wzbudziłam zdziwienie, przerażenie niemal, swoim czynem, który odrazu odebrał mi szacunek. Chińczycy byli zgorzeleni, że ja, jako lekarka dopuściłam się tak niskiej posługi wobec chorego o nieznaną pozycję, a przytem ubożego.

Zjawiskiem zupełnie naturalnym jest tam np. zgładzanie noworodków-dziewczynek, jeżeli w danej rodzinie okażą się niepotrzebne. Religja Chińczyków, oparta w przeważającej mierze o zabobon i mnóstwo przesądów, nie posiada żadnych pierwiastków, regulujących stosunek człowieka do człowieka. Jedynym środkiem zmiany życia chińskiego może być chrystjanizm.

Lekarz misyjny, pracując bezinteresownie i reprezentując religję katolicką — choćby przytem milczał, czyni bardzo wiele. A cóż dopiero może zdziałać, jeśli do tego będzie wypowiadał swoje przekonania i spełniał praktyki religijne — właśnie jako osoba świecka! Ale do tej sprawy

odpowiedniejszy materiał stanowią kobiety. Posiadają więcej wnikliwości. Są przytem — jeśli nie bardziej wytrwałe, to w każdym razie cierpliwsze w pokonywaniu trudności. A cierpliwość jest niezastąpionym czynnikiem w pracy tego rodzaju na terenie Chin.

Chińczycy są bardzo nieufni, tem bardziej, że tamtejsza medycyna różni się całkowicie od naszych nauk lekarskich. Miałam np. taki wypadek. Przychodzi kobieta z chorem dzieckiem. Po szczegółowym i długotrwałym wypyтaniu się o wszystko, (nie istnieje tam poczucie wartości czasu, pośpiech jest oznaką najgorszego wychowania) zażądała odemnie gwarancji, że po okresie leczenia dziecko wyzdrowieje. Ale zdecydowała się oddać je pod moją opiekę w szpitalu. Dziecko zajęło lekarstwo. Wreszcie przychodzi matka i oznajmia zdziwiona: „Lekarzu, minęło dwie godziny, jak moje dziecko zajęło lekarstwo, a jeszcze nie jest zdrowe“... Wy tłumaczyłam, jak się sprawa przedstawia. Wysłuchiła grzecznie, niczemu nie zaprzeczając, bo na to nie pozwalała forma towarzyska, i wśród skomplikowanych ukłonów odeszła. Po pewnym czasie przychodzi znowu i zaczyna na nowo: „Minęło cztery godziny, a moje dziecko jest w dalszym ciągu chore“...

Gdy jednak dziecko wyzdrowiało, nie potrafiła znaleźć słów wdzięczności, podziwu i zachwytu. Podobne doświadczenia przeżywałam prawie ze wszystkimi innymi pacjentami. Poznawszy niektóre prawdy religii katolickiej, stanowili oni później przygotowany materiał dla właściwej pracy misyjnej księży.

Kobieta w świecie i w domu

PRZED ŚLUBEM KSIĘŻNICZKI

ZJAZD KRÓLÓW NA ŚLUB KS. KENTU W LONDYNIE.

Cały Londyn przygotowuje się gorąco do ślubu ks. Kentu z księżniczką grecką Maryną, wyznaczonym na dzień 29 b. m.

Ślub odbędzie się — jak wiadomo — w opactwie westminsterskiem w obecności pięciu królów, 40 książąt i księżniczek z rodów królewskich. Na przyjęcie, jakie odbędzie się następnie w pałacu Buckingham, zaproszeni zostali przedstawiciele dyplomatyczni państw obcych, książęta indyjscy i inni dostojnicy w liczbie tysiąca osób. Specjalne zaproszenia wysłane zostały do osobistości, które pragną oglądać podarki ślubne.

Wszystkie pokoje w hotelach londyńskich zostały już wynajęte na czas trwania uroczystości ślubnych. Policja londyńska przypuszcza, że w dniu ślubu zgromadzi się w okolicy Westminsteru około 2 miliony ludzi. Porządek utrzymywać będzie 6.000 policjantów i 6.000 tajnych agentów, tudzież kilka pułków gwardji królewskiej. Każdemu członkowi zagranicznych rodzi królewskich przydzielonych zosta-

nie do osobistej ochrony sześciu agentów policyjnych.

Królowa angielska zajmuje się osobiście przygotowaniem uczy weselnej, wydając równocześnie instrukcje, dotyczące wzoru sukni ślubnej narzeczonej. 200 ogrodników otrzymało polecenie dostarczenia tysięcy orchidei i chryzantem dla ozdoby sal i stołów, które udekorowane będą w barwach czerwonej, niebieskiej i białej.

KSIĘŻNICZKA GRECKA MARINA W LONDYNIE.

Naręczona najmłodszego syna angielskiej pary królewskiej księcia Jerzego, noszącego tytuł księcia Kentu, księżniczka grecka Marina przybyła we środę do Londynu w towarzystwie swoich rodziców ks. Mikołaja greckiego i księżny Heleny, która jest wielką księżniczką rosyjską, córką wielkiego księcia Włodzimierza Aleksandrowicza. Na dworcu Victoria oczekiwała gości cała rodzina królewska z królem Jerzym i królową Marją na czele. Niezliczone tłumy, mimo ciemności spowodowanych gęstą mgłą, zebrały się na dworcu i wiwatowały na cześć młodej pary. Również cała droga od dworca Victorii, aż do pałacu królewskiego, w którym goście zamieszkali, wypełniona była rozentuzjazzowaną publicznością.

WYPRAWA ŚLUBNA PANNY MŁODEJ.

Kierowniczką pracowni znanej firmy paryskiej „zdradziła” jednemu z reporterów tajemnicę wspaniałych toalet ks. Maryny.

Przed oczyma zachwyconego dziennikarza przesunęły się niektóre z tych toalet, a więc: komplet przedpołudniowy z wełny w kolorze vert amande, przybrany futrem; czapeczka również z futra. Kostjum z czarnej wełny o trzycwiertciowym zakiecie, podszyty czarnym aksamitem. Płaszcz koloru beige podbity futrem lamparciem, płaszcz czarny ozdobiony futrem astrachanem.

Z pośród sukien popołudniowych zwracają uwagę: strojny komplet z krepy w kolorze beige, ozdobiony lisami w tej samej barwie; suknia granatowa, przybrana aksamitem w jaśniejszym odcieniu; suknia w kolorze bleu pervenche z szerokim paskiem z granatowej tafty, suknia z czarnej crepe satin z ozdobami stalowymi.

A oto toalety wieczorowe: toaleta w kolorze turkusowym, z szerokim paskiem srebrnym; toaleta z lamy o barwie brzoskwini, kombinowana z brązowym tiulem; suknia z atlasu różowego, kombinowanego z lamą zieloną i złotą; toaleta czarna, ozdobiona pasami ze srebrnej lamy i kwiatem petuńki.

Dziennikarzowi paryskiemu pozwolono jeszcze rzucić okiem na szereg przepięknych capes, wchodzących w skład wyprawy ks. Maryny. Są wśród nich niektóre długie, przypominające peleryny spahisów, z aksamitu bordeaux z kołnierzem ze srebrnego lisa, dalej różne krótsze z aksamitu czarnego, niektóre niby krótkie pelerynki, osłaniające zaledwie ramiona i t. p.

Panna młoda mieć będzie suknię ślubną ze srebrnej lamy, tkanej w róże angielskie. Długi welon koronkowy, przytrzymywany będzie djademem brylantowym. Jedynie

tylko ślubna szata księżniczki Maryny wykonana została w Londynie w tamtejszym oddziale firmy Molyneux. Wszystkie inne toalety szyto w Paryżu.

„Wtajemniczeni” twierdzą, iż w dniu 29 b. m., w którym księżniczka grecka zostanie księżną Kentu, obudzą ją już o godzinie 7,30 rano. Cztery kobiety pomagające będą przy ubieraniu się panny młodej, a to jej matka, jej własna pokojówka, pełniaczka od wielu lat służąca przy księżniczce, lady Dorothea Hope i pokojowa królowej Mary angielskiej.

Z pośród družek panny młodej, mała księżniczka Elżbieta, córka księcia Yorku i lady Cambridge mieć będą suknie z białego tiulu na spodzie ze srebrnej lamy. Reszta družek nosić będzie toalety z białej jedwabnej krepy, haftowanej srebrem. Wszystkie družki mieć będą róże na ramieniu, a na czole srebrne przepaski.

DARY ŚLUBNE DLA KS. JERZEGO I KS. MARYNY OFIAROWANE NA DZIECI BEZROBOTNYCH.

Książę Kentu i jego naręczona grecka księżniczka Maryna postanowili, że wszystkie podarunki ślubne, jakie będą im złożone przez społeczeństwo, mają być użyte na urządzenie świąt Bożego Narodzenia dla biednych dzieci, oraz na dożywianie chorych dzieci bezrobotnych.

Akcja składania darów zorganizowana jest przez komitet „Dziwięciu Jerzych”, którzy w liście do społeczeństwa piszą, że jakkolwiek świeżo nadał ks. Jerzemu tytuł księcia Kentu, to jednak jest on znany i lubiany w społeczeństwie jako „prince George” i dlatego też hołd, jaki chce mu z okazji ślubu złożyć naród angielski przez swe dary, powinien być zorganizowany przez Jerzych w całym kraju.

OTWARCIE DOMU DLA OPUSZCZONYCH MATEK.

Jeden z oddziałów domu wychowawczego im. ks. Boduena został ostatnio przekształcony na oddział rozdzielczy dla opuszczonych matek, gdzie znajdują one wraz z dziećmi schron i pożywienie. Losem ich zajmują się jednocześnie t. zw. opiekunki przykładowe. Historia każdej kobiety jest szczegółowo zbadana. Kobiety, które mają prawo do opieki miejskiej, są przyjmowane do domu wychowawczego im. ks. Boduena na czas konieczny dla nawiązania porozumienia z rodziną, z narzeczoną, wytoczenia sprawy o alimenty, wyszukania pracy, słowem takiego usamodzielnienia, by mogły osobiście wychowywać swe dzieci. Te zaś, które przybyły z gmin obcych i tam posiadają prawo do trwałej opieki, odsyłane są do gminy przynależności.

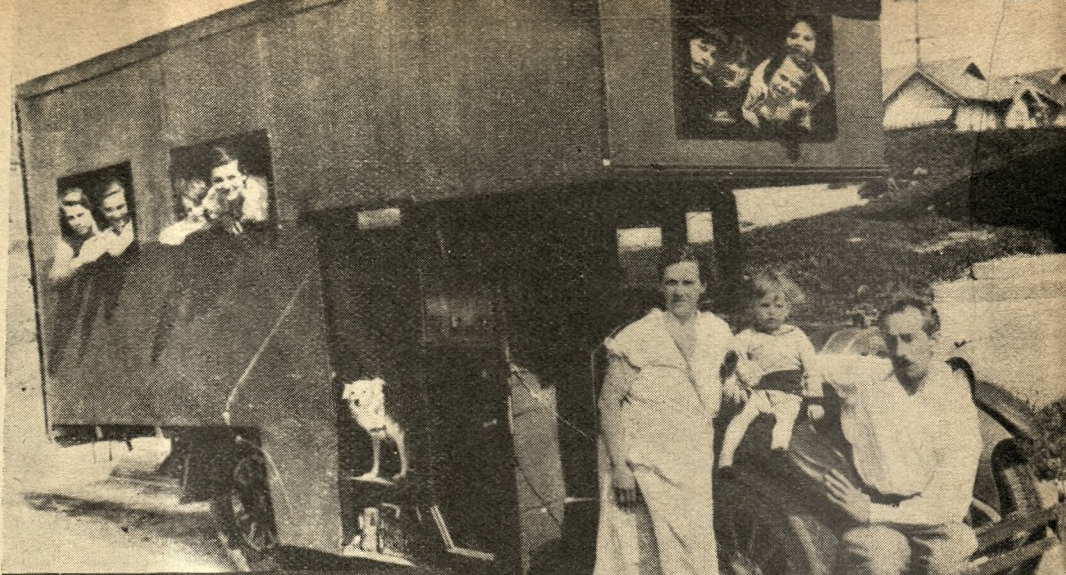
MŁODA PANNA — KONSTRUKTOREM MOSTU.

W Stanach Zjednoczonych ukończono budowę nowego mostu przez rzekę Missouri. Most znajduje się na terytorjum stanu Nebraska i stanowi ostatnie słowo techniki w tej dziedzinie. Koszt budowy wyniósł 30 milionów dolarów.

Plany mostu wykonała 20-letnia miss Bead. Jest to jej pierwsza praca konstruktorska po ukończeniu politechniki.

80 KOBIET — 100 CENTNARÓW
KARTOFLI.

Taka proporcja wypada na obieraczki
w niemieckich domach zarobkowych.



ROZMAITE SPOSOBY PODRÓŻO-
WANIA.

Rodzina Dixon z N. Yorku wybrała
ten sposób lokomocji, który może nie
jest zbyt wygodny, ale w każdym razie
gani.



JEDEN Z NAJBARDZIEJ ZALECANYCH
SPORTÓW.

W Berlinie na sztucznym lodzie ślizgawki
Friedrichsheim rozpoczęła się nauka umiejęt-
ności jazdy na lodzie dla członków jednego z nie-
mieckich Tow. sportowych. Oto jedna z człon-
kiń, której suknia podczas jazdy przybrała
kształt dzwonu.





PUŁK KAWALERJI KOBIECEJ W ARMJI AMERYKAŃSKIEJ.

Pułk kawalerji kobiecej pod komendą kapitana R. B. Lindsay'a bierze udział w manewrach armji amerykańskiej.

PRZYGODNI MARYNARZE.

Ośmiu artystów rewjowych na okręcie „Radianee“ wybiera się w czteroletnią podróż dookoła świata.

Podczas przerw w podróży będą dawali przedstawienia w portach wszystkich części świata.

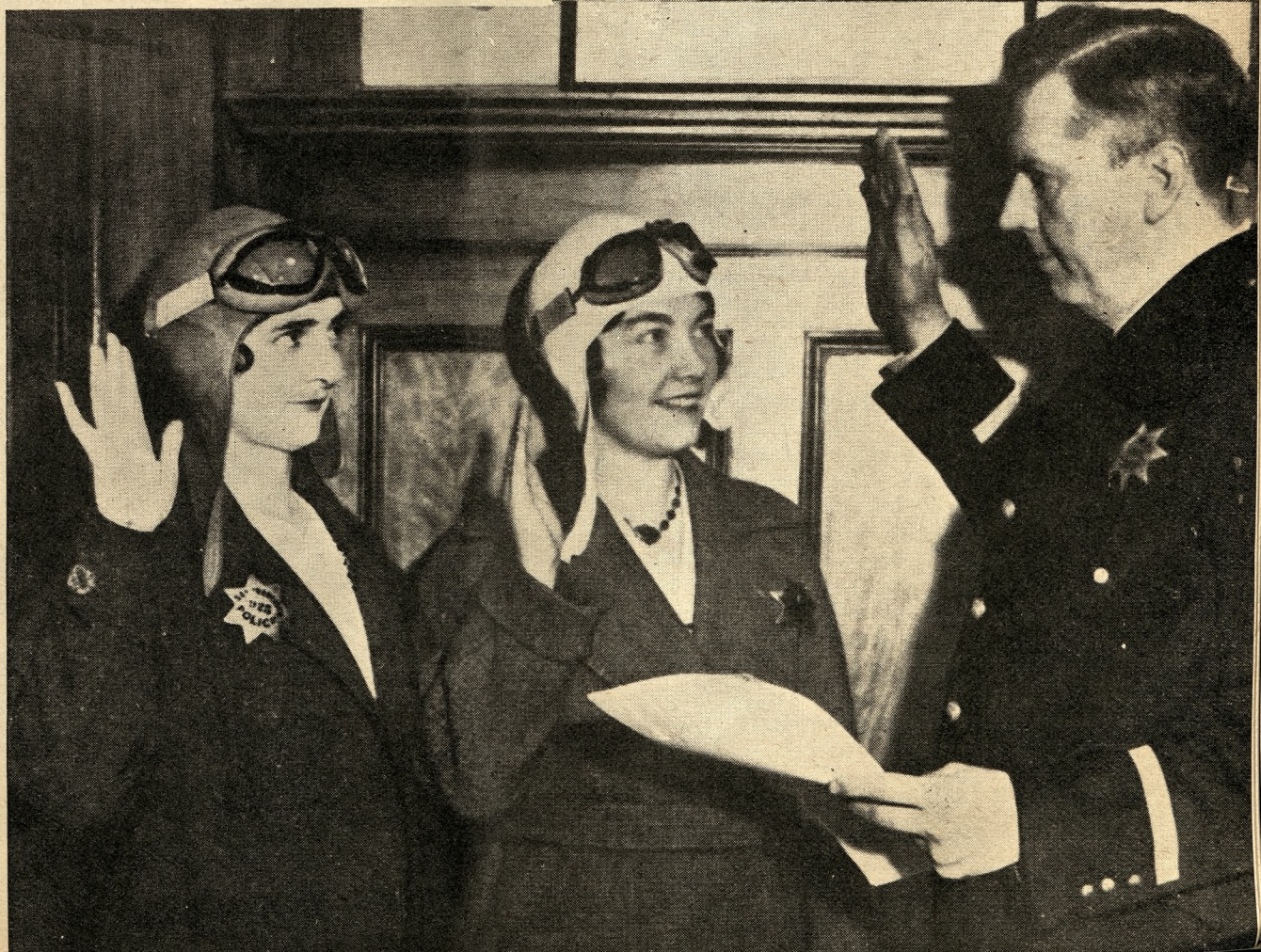


KOBIETY W POLICJI POWIETRZNEJ.

Dwie znane lotniczki amerykańskie zostały przyjęte w randze oficerów do szeregów policji lotniczej w San Francisco

Ich specjalną czynnością będzie poszukiwanie zaginionych osób.

Na fotografii widzimy pierwsze kobiety jako oficerów policji, w chwili składania przysięgi swemu naczelnikowi.



KOBIETY NA MIĘDZYNARODOWYM KONGRESIE MORALNOŚCI PUBLICZNEJ.

W Budapeszcie odbył się Międzynarodowy kongres moralności publicznej przy udziale delegatów 17 państw, o przeważającej ilości kobiet, przedstawicielek prawie wszystkich związków kobiecych. Obrady toczyły się nad kwestją prostytucji. Referaty podkreślały znaczenie odpowiedniego wychowania seksualnego młodzieży z uwzględnieniem strony psychicznej i moralnej (dr. Paulina Luisi).

Obrady drugiego dnia kongresu dostępne były dla szerszej publiczności. Tematem była ochrona młodych dziewcząt. Przewodniczyła hrabina Zichy. P. Henriette Krüy (Lyon), główna sekretarka Towarzystwa opieki nad młodem dziewczętami we Francji, przedstawiła historję idei ochrony młodych dziewcząt. Idea ta powstała w latach osmdziesiątych ub. w., przyjęta tak przez chrześcijan, jak i żydów, przeszła w krótkim czasie zwycięsko przez cały świat. P. Szegedy-Maszek, sekretarka chrześcijańskiego Związku Pań na Węgrzech, przedstawiła ważność domów dla ochrony dziewcząt przed prostytucją, p. Wawre (Szwajcaria) znaczenie pracy na dworcach kolejowych. Delegatka Bułgarii p. Ivanowa mówiła o swojej ojczyźnie, jako o kraju szczęśliwym, w którym jest więcej mężczyzn, niż kobiet, wywołując swymi wywodami wesołość na sali, p. Fiszlowa, delegatka Polski, wygłosiła referat o domach noclegowych dla dziewcząt. Następnie goście udali się na zwiedzenie węgierskich domów dla dziewcząt i ochronek dla dzieci.

Kongres obradował również nad reformą sądów dla nieletnich, koniecznością utworzenia t. zw. sądów rodzicielskich. P. Siemińska omawiała działalność żeńskiej policji kobiecej w Warszawie, opiekującej się nieletnimi i młodem dziewczętami.

P. Eykmann, naczelnik policji dla nieletnich w Rotterdamie, udowadniał na przykładach i doświadczeniach swej praktyki konieczność utworzenia we wszystkich państwach specjalnej policji dla ochrony nieletnich. P. Sempkis, generalny sekretarz londyńskiego Towarzystwa walki z handlem kobietami i dziećmi, wskazywał na konieczność stworzenia specjalnych sądów moralności publicznej.

Długa dyskusja nad sposobami zwalczania prostytucji i drogami, które prowadzą do ogólnego podniesienia moralności, zakończyła obrady kongresu.

Kącik radjowy

Rzesza kobiet pracujących poza domem nosi już dzisiaj imię — legjon. Kobiety szukają zarobku na wszystkich odcinkach, na wszystkich polach pracy. Najczęściej spotykanym typem kobiety pracującej jest biurolistka; maszynistka, sekretarka, stenografistka, korespondentka, czy też buchalterka. Wszystkie one są nieocenionymi pomocnicami biurowymi, często niestety w wyzyskiwanymi.

Wadą kobiety, pozwalającą na wyzyski-



Kierowniczka działu dziecięcego P. R.
Wanda Tatarkiewicz - Malkowska.

wanie jej sił jest ciągle jeszcze brak specjalizacji w określonych kierunkach pracy. — Brak fachowości. To też kobiety, które nadały swej pracy określony kierunek zasługują na poważne uznanie, jako jednostki podnoszące wartość i uniwersalność pracy kobiecej. Weźmy np. pod uwagę kobiety, pracujące w radjo.

Przedewszystkiem należy omówić ich pracę przy nadawaniu audycji w rozgłośniach. Jest to dział pracy, należący do speakerek. Zawód przez nie wykonywany należy do trudnych i odpowiedzialnych. Poza wartościami przyrodzonymi—brzmie-



Speakerka warszawska Ewa Chojnowska.

nie głosu, jasność dykcji — wymagane jest w ich pracy wykształcenie literackie i muzyczne, a także znajomość języków obcych.

Praca ich wymaga wielkiej przytomności umysłu, opanowania nerwów i orientacji, aby w razie jakiejś nieprzewidzianej zmiany w programie lub technicznego defektu zorientować się mogły w skomplikowanych urządzeniach stacji nadawczej, oraz aby nie stracić zimnej krwi i równowagi, tak w stosunku do wykonawców, jak i radiosłuchaczy, ogromnie wrażliwych i reagujących stosami listów do rozgłośni na wszelkie uchybienia w czasie audycji.

O ile chodzi o dział programowy, to należy stwierdzić, że z inicjatywy kobiet powstały również działy: „Kobiece“ i „Dziecięcy“. Niema w tem nic dziwnego, bowiem kobieta ma najwięcej styczności z dziećmi i najlepiej odczuwa psychikę dziecka, ona też najlepiej orientuje się w potrzebach kobiet.

Mamy w Polsce również wiele poważnych autorek utworów, specjalnie pisanych dla mikrofonu, względnie radjofonizowanych z dzieł innych autorów. W dziale reżyserji (radjooperetka, słuchowiska dziecięce) mamy w radjo siły kobiece, zwracające na siebie uwagę swym talentem nie tylko reżyserskim, ale i organizacyjnym.

W dziale administracji ogólnej czy programowej są kobiety licznie reprezentowane na stanowiskach sekretarek w poszczególnych działach programowych.

Najwięcej jednakże kobiet pracuje w fabrykach radjowych przy budowie sprzętu radjowego i aparatów, lamp katodowych i t. d.

Aparat radjowy, lampa radjowa jest przeważnie dziełem rąk kobiecych, które przy wykonywaniu tak delikatnej roboty mają zdecydowaną przewagę nad mężczyzną. Lekkość i sprawność ich rąk, wytrzymałość przy spełnianiu jednej tylko czynności sprawiły, że w każdej fabryce radjowej (zagranicą) większość personelu robotniczego stanowią kobiety. Przy nawijaniu cewek, lutowaniu, składaniu kondensatorów, transformatorów, dławików i t. p. pracują tylko kobiety. Nawet przy ostatecznej kontroli lamp aparatów również one pracują. Siedzą w olbrzymich halach fabrycznych; pasy przesuujące się automatycznie podają wykonaną pracę od jednej robotnicy do drugiej.

Bardzo ciekawa, a wymagająca ogromnej zręczności w palcach jest praca przy fabrykacji lamp katodowych. Okrągłe, dookoła swej osi obracające się piece gazowe podają automatycznie różne części składowe lamp katodowych: donaki, siatki, włókna, cokoły z nóżkami. Części te trzeba w palcach odpowiednio wygiąć, włożyć w bańkę szklaną i po wypompowaniu powietrza hermetycznie zatopić. Jest to robota bardzo delikatna i subtelna, gdyż od dobroci wykonania zależy sprawność fabrykatu. Kobiece palce wykonują to zadanie najlepiej.

Słuchając więc radja, pomyślmy o tem, iż aparat, dzięki któremu gościć możemy cały świat u siebie w domu, jest również dziełem drobnych rąk kobiecych.

Ogrodnictwo i hodowla

PIŹMOWCE

Korzyści z hodowli

Hodowla piżmowców w Polsce na szeroką skalę ma wszelkie widoki powodzenia. Warunki terenowe i klimatyczne mamy odpowiednie. Żywnienie piżmowców nie przedstawia żadnych trudności i jedzą one to samo, co króliki. Są to zwierzęta zdrowe, odporne, których nawet w niewoli choroby się prawie nie imają. W niewoli czują się znakomicie i mnożą się doskonale. Podstawą rentowności ferm piżmowcowych jest wielka płodność tych gryzoni. Cięża trwa zaledwie 3 tygodnie, a młode są po 6 tygodniach zupełnie odchowane. Samica w jednym miocie odrzuca 3 — 6 sztuk młodych. Okres rozmnażania się trwa cały rok z wyjątkiem dwóch najgorętszych miesięcy lata.

Jeśli porównamy hodowlę piżmowców z hodowlą królików, to przekonamy się, że wszystko przemawia za tą pierwszą.

Płodność obu tych gryzoni jest niewątpliwie jednakowa.

Piżmowce należą do stworzeń bardzo odpornych i nie podlegają tak łatwo chorobom, które tak bardzo dają się we znaki hodowcom królików. Nie obawiają się one mokrej paszy, ani słoty i mrozów, przed którymi chroni je dostatecznie gęste futerko. Wyżywienie piżmowca składa się z takiej samej paszy, jak królika, tylko ponieważ jedzą one niepomiarownie mniej od królików, utrzymanie ich wypadnie taniej. Według jednego z najwięk-

szych u nas hodowców piżmowców p. Karpińskiego z Podkowy Leśnej: — „Wyżywienie piżmowca, nawet przy kupowaniu całego pożywienia, co w wiejskich warunkach nie może mieć miejsca, wynosi poniżej 1 grosza dziennie na zwierzę. Kwestja robocizny wchodzi w rachubę tylko przy hodowli na większą skalę.

W piżmowcu możemy więc znaleźć dobrze płatnego odbiorcę na produkty rolne.

Zwierzętom tym latem służy za pożywienie trawa — najlepiej gruba, soczysta z t. zw. kwaśnych łąk, która naogół jest w gospodarstwie mało przydatną, dalej różne t. zw. chwasty; okopowe; marchew, buraki i t. p. Chętnie jedzą wszelkie warzywa kapustne, np. jarmuż stanowi dla nich specjalny przysmak i ma tę zaletę, że w ciągu całej zimy może być świeży. Jako pasze treściwe dajemy po odrobinie ziarna — nasiona słonecznika i siemianiane daje się w zimie, co bardzo

korzystnie wpływa na jakość futerka.

Do dalszych korzyści chowu szczura piżmowcowego zaliczyć należy jego mięso. Jest ono jadalne i ponoś bardzo smaczne. W Ameryce podają je w pierwszorzędnych restauracjach pod nazwą „królika Błotnego”. Mięso to jest podobno w smaku zbliżone do dziczyzny. U nas bardzo wątpię, aby się dało wprowadzić je na stół, ale z korzyścią można je podawać, jako pokarm rybom, łączyć hodowlę piżmowców z hodowlą mięsożernych zwierząt futerkowych.

Piżmowce dostarczają bardzo wartościowego nawozu i gnojówki i to w dużej ilości. Nawozy te zużyte w ogrodzie, dają doskonałe wyniki.

Oczywiście głównym celem hodowli piżmowców pozostaną zawsze futerka. Futerko piżmowca jest w przemyśle kuśnierskim bardzo cenne. Robią się z nich futra, które pani moda już od szeregu lat faworyzuje. Dalej odpowiednio strzyżone i farbowane nadają się na wszelkie imitacje t. zw. „szlachetnych” futer. Futerko piżmowca jest lekkie i ciepłe i bardzo trwałe, to też zawsze może liczyć na powodzenie. Światowy handel skórkami piżmowców sięga olbrzymich cyfr.

Hodowla piżmowców najwięcej rozpowszechniona jest w Ameryce. Zwierzątko to nazywają tam „królem przemysłu futrzanego”.

Sama Europa importuje co roku około 18 milionów skórek piżmowców:

Urzędowa statystyka importu futer do Polski nie wyodrębnia poszczególnych gatunków futer.

Według przybliżonych danych sprowadzamy ich nie mniej, niż 300.000 sztuk rocznie.

Cała nasza produkcja skórek piżmowcowych wyraża się dziś zaledwie w setkach. Jest to więc dziedzina, która tylko czeka na fachowe i zamiłowane ręce. Jeszcze kilka lat temu za pojedynczą skórkę piżmowca płacono dziesiątki złotych. Dziś wartość skórki spadła do kilku złotych, ale nawet przy obecnych cenach hodowla ta należy do bardzo rentownych. Jedną wielką wadą całej tej sprawy jest to, że instalacja fermy jest dość kosztowna.

Przepisy prawne nie pozwalają na hodowlę półdziką ze względu na szkody, jakie piżmowce czynią w rybostanach. Trzeba je koniecznie hodować parami w specjalnych klatkach.

Klatki dla piżmowców muszą być duże, bo dla każdej pary liczy się około 2 m². powierzchni. Muszą one być zaopatrzone w betonowe koryto z wodą możliwie bieżącą, aby zwierzątka mogły dowolnie kąpać się w niej.

Klatki muszą być zbudowane tak, aby zwierzęta nie miały dostępu do części drewnianych, gdyż bardzo szybko by je zniszczyły. Cena klatki dla pojedynczej pary wynosi zależnie od miejscowych warunków od 15 — 30 zł.

Niejednokrotnie na łamach *Bluszczu* poruszałam sprawę hodowli zwierząt futerkowych, jako zawodu specjalnie odpowiedniego dla kobiety.

O piżmowcach i ich hodowli pisałam kilka lat temu bardzo obszernie, szczegółów więc nie powtarzam.

Przypomnę tylko, że żadnej hodowli nie należy zakładać od razu na wielką skalę, a zaopatrzyć się najpierw w jedną, a najwyżej dwie pary i na tych dobrze sztuki hodowlanej się nauczyć. O ile się nie ma tego, co się nazywa „nerw hodowlany” czyli zamiłowania, lepiej się do tego nie brać, bo rezultaty nigdy nie będą dobre.

Materiał zarodowy kupować jedynie pierwszorzędny, nie zrażając się wysoką ceną. Doświadczenie uczy, że wydatek ten zwraca się zawsze.

Natomiast najlepszy hodowca nie dojdzie do żadnych rezultatów, o ile dysponuje wadliwym, czy słabowitym materiałem. Zakupować mniej materiału zarodowego, ale zato dostarczyć mu odpowiednich mieszkań, troskliwej opieki i obfitego pokarmu.

Istnieje u nas szereg ferm, zajmujących się hodowlą piżmowców, przed założeniem hodowli dobrze by było fermę taką zwiedzić, jeśli nie przejść tam praktyki.

Materiał zarodowy możemy nabywać u nas, jako potomstwo po sztukach importowanych bezpośrednio z Kanady.

Związek Hodowców Zwierząt futerkowych, który się mieści w Warszawie przy ulicy Kopernika 30 udziela wszelkich wskazówek hodowlanych i podaje adresy skąd można nabyć gwarantowany materiał zarodowy.

Zaznaczyć jeszcze należy, iż o piżmowcu w języku angielskim i niemieckim istnieje cała literatura, sięgająca setek tomów. Są specjalne pisma temu zwierzątku poświęcone i t. p.

WOSKOWIEC

Woskowiec, Hoya carnosa, to wspaniała roślina pokojowa, odznaczająca się, zarówno dekoracyjnością, jak i nieprawdopodobną wprost wytrzymałością na złe nawel warunki hodowli pokojowej.

Lat temu kilkadziesiąt stanowiła ona ulubiony i powszechnie hodowany kwiat; dziś mało gdzie spotkać ją można; powodem tego jest przede wszystkim moda, która w tej dziedzinie również poważną odgrywa rolę i coraz to inne kwiaty każe faworyzować.

Drugim powodem jest ciasnota mieszkaniowa, która w ostatnich dziesiątkach lat czyniła zastraszające postępy, wydzielając człowiekowi coraz mniej miejsca. W ostatnich jednak latach, nastąpił pod tym względem stanowczy zwrot na lepsze. Warto tedy zwrócić uwagę na te rośliny, które, jako zbytnio się rozrastające, zostały z hodowli pokojowej prawie wyrugowane.

Do tych roślin należy w pierwszym rzędzie woskowiec, zwany także woskownicą, lub woskokwiatem. Jest to bowiem jedna z niewielu roślin, która w pokoju czuje się, jak w ojczyźnie, bo zarówno wysoka temperatura przeciętnego mieszkania, jak i suche powietrze, jakie tam zwykle panuje, sprzyja jego rozwojowi. Odznacza się ona ponadto szybkim wzrostem: w ciągu dwóch lat można się z sadzonki dochować dużej rośliny.

Posiada duże, mięsiste i sztywne liście, osadzone na długich pnących się łodygach. Liście mają kształt jajowaty, szpiczasto-wydłużony. Są długie na 12 cm., a 5 cm. szerokie; mają postać grubych, mięsistych, jakby skórzanych blaszek. Barwę mają ciemno-zieloną, bardzo błyszczącą, a u niektórych odmian z odcieniem srebrnym.

Wielką ozdobę stanowią kwiaty; bývają one białe, lub różowe, zebrane w duże kwiatostany; ukazują się obficie w ciągu całego lata. Wydzielają nadzwyczaj miłą woń i czynią wrażenie, jakby były z wosku ulepione. Stąd też pochodzi nazwa tej rośliny.

Jako roślina pnąca, oddaje nam woskownica w pokoju cenne usługi, gdyż można ją rozpiąć na ramię okiennej, co ślicznie wygląda. Można ją ustawiać na wysokim słupku i puścić festony gałązek ku dołowi. Rozpiąwszy ją przy płotku, lub drabince, można mieć śliczny parawanik.

Gałązki ma długie, nielamliwe i dlatego można z niej dowolnie wytworzyć krzak płaski, stożek; nadać mu formę kulistą, lub inną, wedle upodobania.

Woskownica pochodzi z Chin i Australji. Wymaga ona słonecznego stanowiska i nie znosi przestawiania



z miejsca na miejsce, gdyż poruszana, słabo, lub wcale nie kwitnie.

Ciepłota, którą najchętniej lubi, jest do 18° C. Potrzebuje jednak dużo świeżego powietrza i dlatego należy często wietrzyć, chroniąc jednak roślinę przed bezpośrednim pędem mroźnego powietrza.

Latem potrzebuje dużo wody i częstego skrapiania; zimą dawki wody stosujemy bardzo ostrożnie, nie dopuszczając jednakże do zupełnego wyschnięcia ziemi.

Należy ona do roślin bardzo żarłocznych, które za zasilek płynnymi nawozami, wywdzięczają się bujnym wzrostem i obfitem kwitnieniem. Wczesną wiosną, jeszcze przed rozpoczęciem wzrostu, trzeba woskownicę przesadzić, dając jej doniczkę, stosunkowo dużą i doskonale zdrenowaną. Najodpowiedniejszą dla niej ziemią, będzie liściasta, z domieszką torfu, gliny, oraz rzeczynego piasku. Roślinom słabym, lub chorującym należy dorzyszczać ziemi wrzosowej. Natomiast silnie rosnącym krzakom, dobrze jest dodać część ziemi gnojowej. Korzeni przy przesadzeniu nie przycinamy. Dajemy natomiast obszerniejsze, niż zwykle doniczki, unikając równocześnie zbyt częstego przesadzania.

Przekwitłych kwiatostanów nie należy wycinać; zdarza się bowiem często, że wytwarzają się na nich jeszcze w tym samym roku nowe pączki.

Rozmnażać ją łatwo z sadzonek branych w marcu, lub kwietniu i flancowanych w bardzo lekkiej ziemi, pod szkłem. Przyjmują się łatwo i szybko się zakorzeniają. Młode roślinki przesadzamy często. Starsze, wobec tego, że daje im się większe doniczki, mogą w tej samej ziemi zostawać nawet kilka lat.

Wielką wadą woskownice jest to, że bytują na nich różne pasożyty, a z tych najczęściej się spotyka *czermca cieplarniowego*, czyli *melnistego*. Jest to szkodnik groźny i, jeżeli roślin naszych przed nim chro-

nić nie będziemy, potrafi on w krótkim czasie doprowadzić do zagłady najsilniejsze egzemplarze. Pasożyt ten, zwany po łacinie *Cocus Adonidum*, usadawia się zwykle w kątach między liśćmi i na gałązkach, skąd dalej się rozchodzi. Owad sam wygląda, jak małeńka stonoga; pokryty jest wszakże białą, puszystą powłoką i przedstawia się skutkiem tego, jak podobne kupki białej waty. Najskuteczniej daje się usuwać drogą mechanicznego oczyszczenia, małym spiczastym kołeczkiem, albo sztywnym pendzelkiem.

Po mechanicznym oczyszczeniu, zaleca się kilkakrotne opryskanie roślin w odstępach tygodniowych ekstraktem tytoniowo - mydlanym. Gdyby ten środek nie pomógł, trzeba zastosować zwilżanie pojedynczych owadów 35% spirytusem skażonym, przy pomocy pendzelka.

Skutecznym środkiem jest również gorąca kąpiel. W tym celu zanurzamy zielone części rośliny, w jakimś głębokim naczyniu, w którym znajduje się woda o temperaturze 40 — 45° C. W wodzie tej trzymamy zanurzoną roślinę w ciągu około 3 minut, miarowo nią potrząsając, aby woda dotarła do wszelkich zakamarków rośliny i mogła zniszczyć nie tylko dorosłe owady, ale i wszystkie zarodki.

Wyższej temperatury wody stosować nie należy, gdyż zniszczyłaby roślinę.

NAJLEPSZA PORA WYCINANIA SUCHYCH GAŁĘZI

Najodpowiedniejszą porą do usuwania suchych gałęzi z drzew jest późna jesień, gdy liście z drzew już dobrze opadać zaczynają, ale trzyma się ich jeszcze tyle, że suche gałęzie dobrze widać.

Grube gałęzie trzeba tak opiłowywać, aby rana była zupełnie gładka, pomimo, że opiłowujemy najpierw od spodu, potem od góry.

Pod żadnym pozorem nie należy opiłowywać gałęzi tylko od góry. Łatwo bowiem może się zdarzyć, iż gałąź, w pewnym momencie, pod wpływem własnego ciężaru, ułamie się i zedrże cały pień od góry do dołu. Suche i obumarłe gałęzie trzeba upiłowywać aż do zdrowego drzewa, a następnie ranę doskonale wygładzić ostrym nożem i zmasmarować maścią ogrodniczą.

Przy większych mrozach nie powinno się opiłowywać grubszych gałęzi, gdyż od tego drzewo pęka, a w szpary dostaje się śnieg, woda i drzewo zaczyna gnić.

O ile nie załatwimy ucięcia wszystkich suchych gałęzi jesienią, lepiej z dokończeniem tej roboty (jeśli chodzi o grubsze konary), wstrzymać się do momentu, gdy silniejsze mrozy miną.

Marja Dąbrowa.

Dom i gospodarstwo

ZAPASY I PRZEPISY

Zainteresowania świąteczne piętrzą się z dnia na dzień z żywiołową siłą, dlatego też trudno poświęcać czas i miejsce zagadnieniom, z punktu widzenia „domowego” ogólnym, kiedy tak *specjalne* wysuwa się na forum naszej wyobraźni.

Ujęcie z lotu ptaka, zahaczenie o to i owo nie wystarcza. Trzeba przejść punkt po punkcie.

Bo trudno zaprzeczyć, że „Gwiazdka” ma swoją specjalną aurę, złożoną nie tylko z wrażeń uczuciowych i wzrokowych, ale i powonieniowych w dużej mierze.

Cały ten rozkoszny nastrój świąteczny, byłby *daleko rozkoszniejszy*, gdyby nie obijał się o ostre kanty chwijnego budżetu. Święta nie obejdują się bez ofiar materialnych, ale właśnie dlatego musimy przemienić nasze złotówki na maksimum dobra doczesnego.

Jedyną pewną drogą do tego celu będzie zbudowanie kulinarno-świątecznego planu na mocnych fundamentach zdrowej kalkulacji.

Wiedząc czem dysponujemy zaczynamy już dziś liczyć, kalkulować, sumować i, niestety, „ulepszać” zdanie.

Cztery świąteczne dni będą wymagały poważnego wysiłku twórczego, jeżeli mają być zorganizowane wzorowo. Nawet gospodarstwo żyjące z dnia na dzień musi przejść na zapasy, uwzględniając w nich ilościowo i jakościowo nie tylko same święta, ale i conajmniej dwa dni poświąteczne, które odznaczają się półsennym nastrojem sklepów spożywczych, ogłodzonych przedwigilijnym rozpędem handlowym.

Pierwszym punktem, który opracować trzeba, jest zbudowanie jadłospisów na cały okres świąteczny, a więc w tym roku na: niedzielę, poniedziałek, wtorek i środę.

To są placówki czołowe, a w ślad za nimi idą jeszcze dwa dni poświąteczne: czwartek i piątek, które jak zwykle obsłużymy resztkami.

Opracowywanie tak rozciągniętych jadłospisów jest uciążliwe, to prawda, ale ma jedną dobrą stronę: pozwala na pewne pokrewieństwo dań, to znaczy wyprowadzenie jednych potraw z drugih w sposób oszczędnościowy, przez użytkowywanie materiału, który w innym wypadku nie znalazłby zastosowania.

A więc: pozostałe z wczorzy wigilijnej *ryby* zużytkujemy na sałatkę, paszteciki, krokiety, vol au vent i t. p.

Jarzyny, na których gotował się smak do ryby, dadzą nam wyśmienitą sałatkę.

Combrly zajęcze będą podstawą jednego ze świątecznych obiadów, a z przodków zrobimy *pasztecik*, przewidując w ten sposób śpiżarnię na czas dłuższy.

Tego rodzaju kombinacji „łańcuszkowych” mamy do dyspozycji całe szeregi, ale nie można ich tworzyć na kolanie, w ostatniej chwili, bo wówczas są zawsze niekompletne, wykorzystane dorywczo z punktu widzenia zarówno twórczego, jak i oszczędnościowego.

Zarys świątecznego planu kulinarnego trzeba naszkicować już teraz i ulepszać go z dnia na dzień, bo nigdy nie wiadomo skąd i jak rodzą się genialne pomysły.

„Karmą” do tego rodzaju twórczości są zarówno oglądane wystawy sklepów spożywczych i stoiska w halach targowych, jak studjowane ogłoszenia, przesyłki nadchodzące ze wsi, gawędy kulinarne, wspomnienia „dawnych dobrych czasów”, wreszcie przepisy i książki kucharskie, studjowane w okresie świątecznym ze wzrastającym zainteresowaniem.

Z chwilą, kiedy plan posiłków jest już opracowany, trzeba zająć się rzeczowo samą aprowizacją. Nie zostawiać jej na ostatnią chwilę, nie chwytac gorączkowo przez głowy i ramiona natłoczonych po sklepach klientów drogich resztek, a zapewnić sobie dostawy z pierwszych i tanich źródeł.

Okres przedświąteczny mógłby być szerokim i wydajnym polem działania handlowego dla wsi. Przewidowanie gospodarstw miejskich paczkami żywnościowymi spotkałoby się napewno z wielkim uznaniem, jednak musiałoby być zorganizowane sumiennie.

Dotychczas zgłoszenia naskutek anonсів, zamieszczanych w pismach, a obiecujących cuda na temat paczek żywnościowych, kończą się niestety wydatkiem na znaczek pocztowy i pozostają bez echa! Chciałam w ten sposób zapewnić sobie dostawę masła, mięsa i drobiu, ale „źródła” nie odpowiedziały mi ani słowa!

Mozna jednak zahaczyć wieś wprost, zwracając się do osób znajomych, czy do *wiejskiej rodziny* z propozycją zgłoszenia (jakiejs określonej partji) produktów, którą każdy dom z łatwością rozdzieli pomiędzy znajomych i zdobędzie w ten sposób dla siebie produkty pierwszorzędne, a niedrogie.

Teraz przychodzi kolej na zainteresowanie przepisami. Zdobywanie i wypróbowywanie—oto dwie części składowe tej kampanji.

Osoby kulinarne wyrobione i do-

świadczone mają całe szeregi swoich sekretów, którymi mogą z łatwością dopomóc nowicjuszkom. Trzeba jednak, aby *nowicjuszk* zrzuciły pychę z serca i zechciały chociaż raz w okresie Bożego Narodzenia uznać swoją słabość, pokrzepić się siłą cudzego doświadczenia.

Upieczenie świątecznego piernika, czy ciasta drożdżowego nie należy do filozofji, jak również do robienia galarety z ryb, czy majonezu, lub szupaka faszerowanego niepotrzebne są długotrwałe studia fachowe.

Ale w każdym z tych wypadków przeczytanie przepisu i *odrobienie go* (szczególnie jeżeli jest zestawiony tak, jak to bywa nieraz z przepisami, „enigmatycznie”), może stać się dla osoby początkującej źródłem poważnej straty materialnej i poważnego kłopotu.

Dobry, rzeczowy, drobiazgowy przepis, który wskazuje nie tylko proporcję, ale i sposób wykonania wraz ze wszystkimi wskazówkami co do czasu przyrządzania, pieczenia, smażenia czy gotowania, jest nieocenioną pomocą w gospodarstwie i dlatego nie trzeba bagatelizować zdobywania dobrych przepisów, a pozątem wszystkie zdobyte wciągać do specjalnej książki, którą dla przezroczystości i ułatwienia odszukiwania podzielimy na specjalne działy.

Przygotowane w ten sposób do kulinarnej kampanji świątecznej możemy być spokojne, że zacznie się ona pod szczęśliwą gwiazdą, a zakończy triumfalnie!

Wanda Dobrzańska.

Przepisy gospodarskie

Przysmaki świąteczne.

Całuski. Proporcja: 6 szklanek mąki pszennej, 40 dkg. miodu, 2 całe jaja, 20 dkg. cukru pudru, razem 2 łyżeczki tłuczonych mialko goździków i cynamonu, 10 dkg. drobnutko krajanej skórki pomarańczowej, 2 łyżeczki sody oczyszczonej. Mąkę osiać na stolnicę, miód, jeżeli twardy, rozgrzać. Mąkę zagnieść z jajami, dodawać stopniowo miód i wyrabiać tak długo, dopóki od ręki nie odстане, dodając w międzyczasie: cukier puder, tłuczone korzenie, skórkę pomarańczową i sodę.

Doskonale wyrobione ciasto wyjąć na stolnicę, obficie podsypaną mąką, wałkować dosyć cienko, wykrawać okrągłą foremką pierniki, zwane całuskami.

Ułożyć na blasze wyprószonej mąką, piec w niezbyt gorącym piecu. Po zdjęciu z blachy i przestudzeniu oczyścić z mąki, która do spodów przywarła, lukrować lu-

krem o dowolnym smaku i kolorze. Obszyc w cieple.

Lukier do całusków. 40 dkg. cukru zalać szklanką wody, zagotować. Ubić 8 białek na bardzo sztywną pianę, lać wrzący syrop w pianę, mieszając bezustannie. Mieszać aż do wystudzenia. Chcąc mieć lukier o różnym zabarwieniu i rozmaitych smakach rozdzielamy go po utarciu na dowolną ilość części, kładąc każdą część na oddzielną miseczkę, i zaprawiamy rozmaitemi dodatkami, jak: biały—paroma kroplami olejku miętowego; różowy — alkiermasem (dla koloru) i olejkiem różanym (smak); do czekoladowego dodać trochę kakao w proszku. Lukier rozprowadza się na spodzie całusków pędzelkiem, uważając, aby smarować bardzo równo i nie wytwarzać smug.

Pierniki marcepanowe z czekoladą. Ciasto, przygotowane, jak wyżej, rozwałkować na pół palca grubo, wysmarować blachę wyborową oliwą stołową, rozpostrzeć na niej ciasto, upiec w średnim piecu. Gdy piernik wystygnie, pokrajać go na niewielkie kawałki, przykryć każdy kawałek z wierzchu masą marcepanową, oblać glazurą czekoladową, przybrać zręcznie osmażanymi w cukrze skórkami pomarańczowymi i migdałami obieranymi ze skórki.

Masa Migdałowa. 20 dkg. słodkich migdałów, sparzyć, obrać ze skórek, wypłókać w zimnej wodzie, osączyć na serwecie, obsuszyć, zemleć dwukrotnie na młynku. Włożyć migdały na miszkę niepolewaną, dodać 50 dkg. cukru pudru, trochę sproszkowanej wanilii, 5 surowych białek. Ucierać wałkiem drewnianym, dopóki migdały nie rozetrą się na gładką masę.

Glazura czekoladowa. 10 dkg. czekolady czarnej w tabliczkach, 5 dkg. cukru kryształu zalać trzema łyżkami mleka, albo śmietanki. Podgrzewać na wolnym ogniu aż do zupełnego rozpuszczenia, mieszając bezustannie, żeby czekolada nie przywarła do rondelka. Wysmażyć na gęstą pomadkę, powinna być gęstości lukru pomadkowego. Po zdjęciu z ognia dodać kawałeczek masła deserowego, mieszać chwilę łyżeczką drewnianą. Z masłem już nie smażyć, bo straci połysk. Ubierać pierniki skórką pomarańczową i migdałami, gdy glazura tężeć zacznie, ale zanim całkowicie stężeje. Przybranie powinno „wrosnąć“.

Pierniki wykwintne bakaljowe. Z takiego ciasta, jak na całuski, wyciąć krąg wielkości i kształtu tortownicy. Wyprószyć tortownicę cieniutko mąką, włożyć na spód cienki krąg ciasta piernikowego, przykryć warstwą drobno krajanych fig, daktyli, osmażanej skórki pomarańczowej. Znow dać krąg ciasta, znow bakalje i ciasto. Wsunąć do średniego pieca, a gdy piernik upieczony, zdjąć pierścień tortownicy, posmarować piernik cienką warstwą wykwintnej marmolady owocowej, a gdy przestygnie, polukrować pomadką czekoladową i przybrać skórkami pomarańczowymi, figami krajanymi w paseczki i migdałami obieranymi ze skórki.

Piernik wykwintny. Proporcja: 1 szklanka miodu, 1 szklanka cukru, 5 żółtek, 15 dkg. migdałów słodkich, 15 dkg. orzechów włoskich, 10 dkg. osmażonej skórki poma-

rańczowej, trochę tuczonych goździków, ziela angielskiego i cynamonu, łyżeczkę sody oczyszczanej w proszku, szczyptę soli, 2 i pół szklanki najrzędniejszej mąki pszennej, pianą z 5 białek.

Ucierać na donicy miód z mąką, dodając żółtka, obrane ze skórek i utarte na młynku migdały słodkie, mielone orzechy włoskie, sól korzenie. Gdy masa doskonale utarta, dodać skórkę pomarańczową, sodę, a wreszcie sztywno ubitą pianę z 5 białek. Zrobić papierową formę dowolnego kształtu (okrągłą, albo czworokątną, wysmarować olejkim migdałowym, wlać masę, piec w niezbyt gorącym piecu, próbując patyczkiem. Gdy piernik przestygnie, polać glazurą czekoladową.

Marcepany. Marcepany należą do najwykwintniejszych przysmaków okresu świątecznego. Szczególnie marcepany, przyrządzane na wzór sławnych królewskich, napełniane wyborowym lukrem pomadkowym i przybierane konfiturami, są wykwintnym przysmakiem, który można doskonale przyrządzić w domu.

50 dkg. migdałów słodkich wyborowych sparzyć wrzątkiem, trzymać dłuższą chwilę pod przykryciem, wybierać stopniową łyżką durszlakową i obierać ze skórek, rzucając w zimną wodę. Odlać wodę, wypłókać w czystej, znow zlać, zalać świeżą zimną wodą, trzymać tak migdały kilka minut (od tej kąpieli bieleją). Osączyć na sicie, rozspać jedną warstwą, obsuszyć.

Zemleć migdały na młynku, przepuszczając je kilkakrotnie, aby były zupełnie miałkie.

Włożyć mielone migdały na duży półmisek porcelanowy, dodać 75 dkg. cukru pudru (najlepiej utłuc mialko cukier z głowy i osiać przez bardzo gęste sito), zakropić migdały z cukrem wodą różaną i gnieść tak długo, dopóki nie wytworzy się zupełnie gładkie ciasto migdałowe.

Rozwałkować ciasto migdałowe bardzo cienko, tak jednak, aby się nie rwało, wycinać blaszanymi foremkami marcepany dowolnego kształtu (serduszką, czworokąty, trójkąty, kółka). Wałkuje się ciasto na porcelanowej deseczce, podsypując w razie potrzeby cukrem pudrem.

Po wycięciu figurek trzeba je oblepić rancikiem, który łączy się z marcepanem surowym białkiem, rozprowadzając je po brzegach pędzelkiem. Ranciki formuje się z cienkich na centymetr szerokich pasków, karbując je, już po przyklepieniu do marcepana, delikatnymi szczypeczykami od cukierków, wyciętymi w ząbki. Gotowe marcepany trzeba ułożyć na blasze, wysłanej białym papierem i przypiec same wierzchy rancików, tak aby się przyrumieniły. Robimy to następującym sposobem: starą blachę od pieczenia, lub blachę wyjętą z

**DO ROBOT
RĘCZNYCH**



**WŁÓCZKI
I WEŁNY
„TRÓJKĄT W KOLE”**



piecyka doskonale wyszorowaną ze spodu ustawić na dwóch rondlach jednakowej wielkości. Na blaszce ułożyć rozżarzone węgle drzewne i dmuchać na nie mieszkami, aby nie przyciasły.

Gdy blacha doskonale rozgrzana, wsunąć pod nią blachę z marcepanami i trzymać tylko do chwili, kiedy czubki ząbków, w jakie wyszczypałyśmy rancik; nabiorą wyraźnie pomarańczowego koloru.

Na drugi dzień trzeba polukrować marcepany, a gdy lukier zastygnie, ubrać je ozdobić osączonymi z syropu konfiturami.

Lukier do marcepanów robi się w sposób następujący:

Pół kilograma cukru zalać szklanką wody, gotować pod przykryciem, w czasie gotowania obmywać kilkakrotnie ścianki rondelka piórkiem, umaczaniem w zimnej wodzie, żeby cukier na nich nie obsiadał i nie krystalizował się. Smażyć syrop „do nitki” to znaczy próbować, dmuchając na kroplę, która się wytworzy na umaczonej w syropie łyżce metalowej. Jeżeli kropla pod wpływem dmuchnięcia wyciąga się w nitkę — syrop ma dożyć. Zdjęty z ognia wylać na porcelanową miseczkę, wystudzić, a wystudzony ucierać drewnianym, albo porcelanowym wałkiem, dopóki nie wytworzy się biała pomadka. Gdy gęstnąć zacznie, dodać trochę przecedzonego przez gęste siteczko soku cytrynowego, a dla smaku likieru maraskino, kroplę olejku różanego, lub trochę mocnego, aromatycznego araku.

Tak przygotowanego lukru nalewamy do marcepanów, a gdy stężeje, ubieramy powierzchnię osączonymi z syropu i obsączonymi konfiturami, krajaną w wąziutkie paseczki skórką pomarańczową, anżeliką i t. p.

Marcepany, złożone w pudło z białej blachy ze szczelnie dopasowanym wierzchem, można przechowywać w chłodzie czas dłuższy. W okresie świątecznym podaje się je razem z bakaljami, albo do wina węgierskiego. Są rzadko spotykane w prywatnych domach i jako takie mogą się stać z łatwością tak bardzo cenną dla zapobiegliwej i ambitnej pani domu, „specjalnością domową”.

Melba.



Zaczyna się sezon sportów zimowych. Jadąc w góry, namyślamy się, jaki sprawić kostjum. Aby ułatwić decyzję, podajemy kilka kostjumów narciarskich, wśród których z pewnością znajdziemy to, czego szukamy, a więc: granatowe spodnie z grubym białym swetrem, brązowe tak obecnie modne pumpy z kurtką tego samego koloru. Zielona, zapinana na klipsy kurteczka i wreszcie typowy granatowy kostjum, którego jedyną ozdobę stanowi kolorowy kołnierzyk i mankiety.



Suknie bridżowe

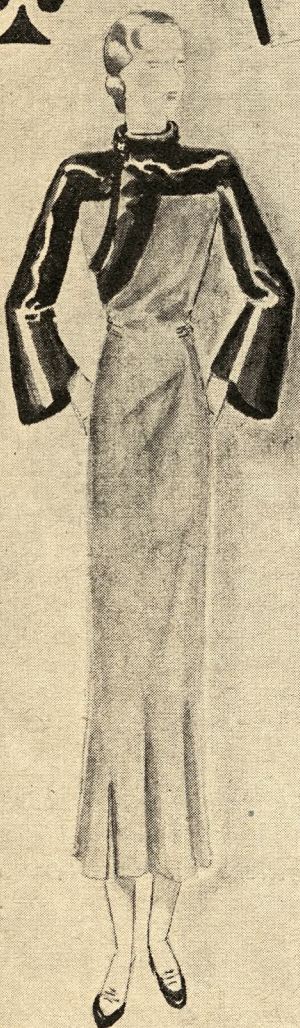
Podajemy kilka modeli sukien bridżowych.

Kier — wełniana suknia beige z modnym kimonowym rękawem.

Karo — czarna jedwabna suknia z dużym koronkowym kołnierzem i koronkowymi mankietami.

Trefl — suknia, której góra zrobiona jest z błyszczącego jedwabiu, a dół z matowego.

Pik — suknia z wełny w prążki z jedwabnym żabotem.



Okrycia wieczorowe

Płaszcz wieczorowy lub t. zw. cape jest pewnego rodzaju nadprogramem w garderobie dzisiejszej kobiety. Wszak nie każda bywa na balach, a nawet tej, która bywa, wystarczy na balową suknię narzucić futro lub palto, które przy wejściu zostawia w garderobie. Taki płaszcz wieczorowy jest więc zbytkiem i sprawia go sobie tylko ta Pani, która nie ma ograniczonych środków a sezon karnawałowy spędzi hucznie. Oczywiście efektownie jest wejść na salę w pelerynce aksamitnej podbitej futrem, lub w pomłóczystym płaszczu obramowanym lisami, ale niechaj się pani nie martwi. Bez wieczorowego płaszcza, w modnej balowej sukience będzie wyglądała i tak ładnie. Trzeba się tylko nauczyć majestatycznie kroczyć, gdyż modne są w tym roku treny.

I. D.



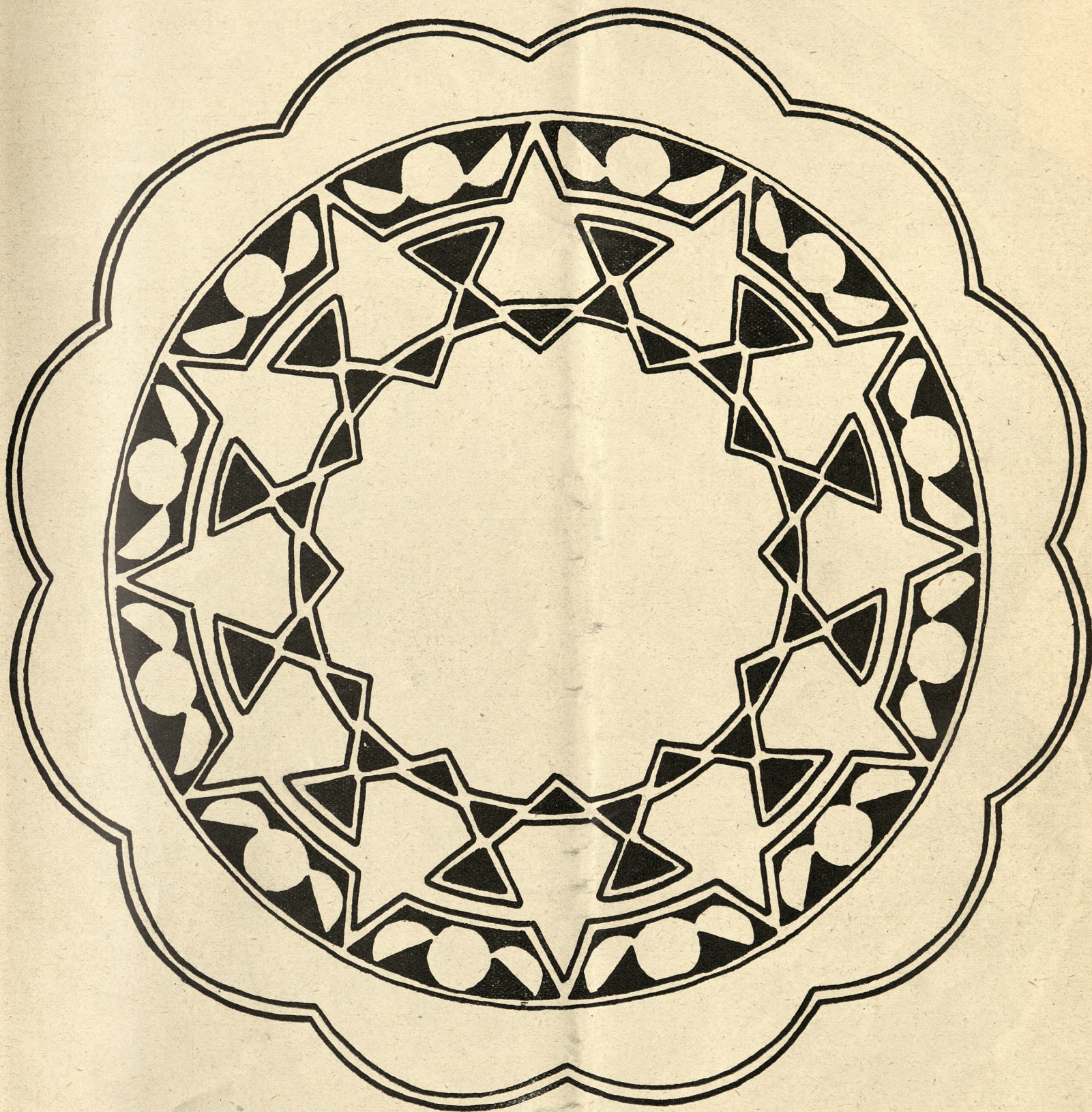
Wieczorowa suknia z białej tafty. Rękawy tworzą pelerynkę.




Suknia wieczorowa z modnej tkaniny przetykanej celofanem. Duża zmarszczona falbana u dołu tworzy tren. U góry zmarszczona falbana tworzy pelerynkę.




Serwetka „Richelieu”



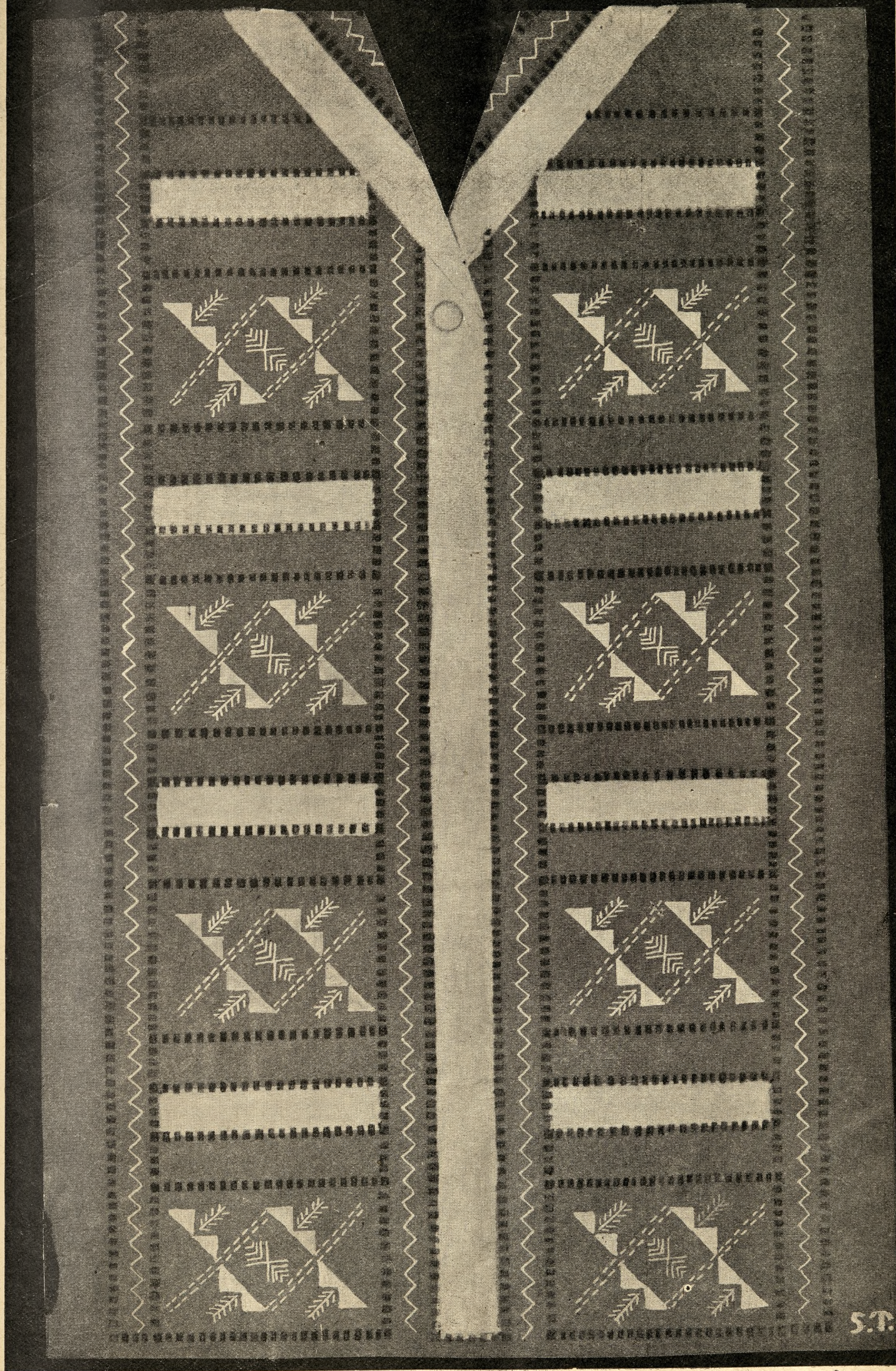
Zastosowanie pod talerzyk do podwieczorku. Projekt S. Tomaka.

 *Pracownia do ce-*
*rowania i nici „***TRZYLIŁIE***”*



Serwetka na tacę

Wzór na koszylę nocną



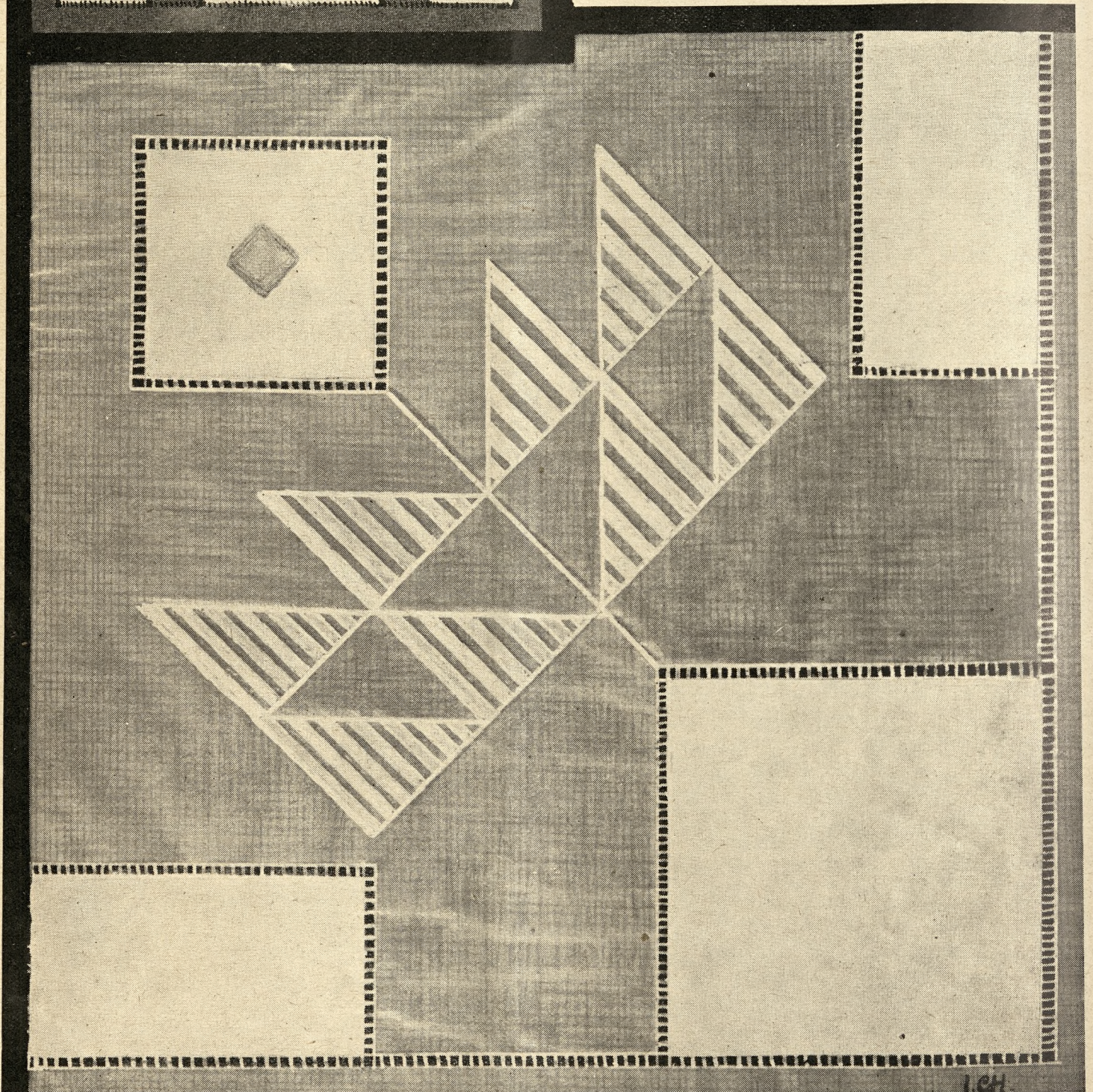
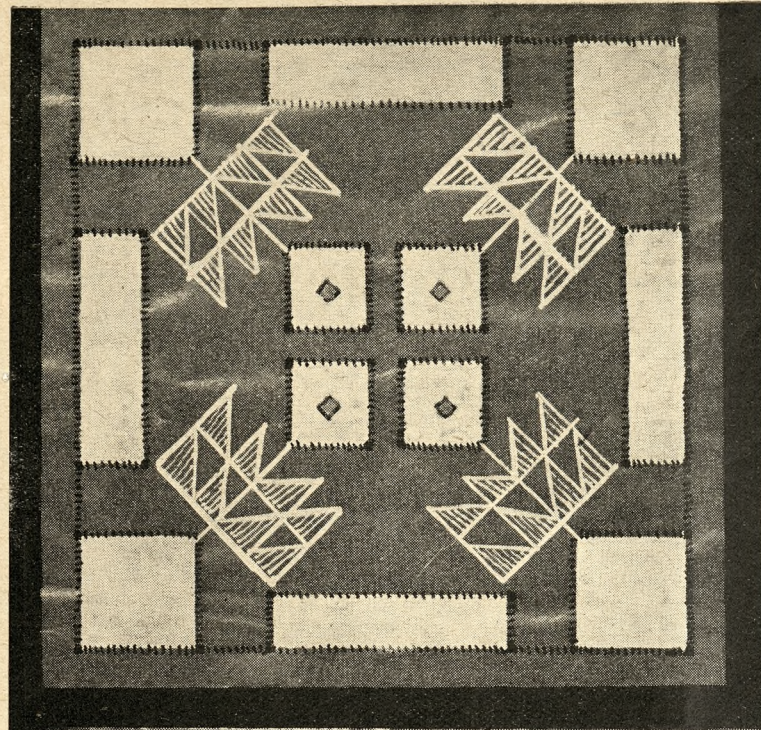
Poduszka z niebieskiego płótna

Aplikacją wykonane kwadraty i prostokąty w kolorze różowym. Przyszycie mereżką

Haft wykonany nicią różową w kolorze aplikacji.

U góry całość w zmniejszeniu, u dołu fragment.

W. Chodkiewiczowa.



1.24

MEBLE gwarantować może tylko własna wytwórnia

Stołowy 14 sztuk 450. Sypialnia 10 sztuk 440. Gabinety 460. Salony mahoni 10 sztuk 220. Złocony orzechowy, fotele futurystyczne, tapczany higieniczne 85. Otomany 120. Stoły rozsuwane 50. Krzesła wyściełane 15, oraz najróżnorodniejsze sztuki.

OLKOWSKI Nowy Świat 12, tel. 9-10-93 = Firma chrześcijańska =



PIERWSZA LECZNICA

Kosmetyczna i Chorób Włosów
Dr med. M. Biernackiej i Dyr. I. Kisielewskiej
Warszawa, Szopena 16.

Z DZIAŁALNOŚCI POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ

Biblioteki Sienkiewiczowskie

Wołyński Zarząd Wojew. Polskiej Macierzy Szkolnej w Łucku, pragnąc zainteresować jaknajszersze masy wiejskie książką i pobudzić je do czytelnictwa, zainicjował piękną akcją Bibliotek Sienkiewiczowskich. Uważając, że najlepszą propagandę książki mogą zrobić dzieła Sienkiewicza i oceniając ich znaczenie narodowo-wychowawcze, przygotowano 100 bibliotek ruchomych jednej treści, w specjalnych zamkniętych szafkach. Każda Biblioteka składa się tylko z 10-ciu książek: 6 tomów Trylogii, 2 tomy Krzyżaków, 1 tom W pustyni i puszcy i 1 tom „Zbiór pieśni polskich” z nutami. Biblioteki te mają okrążyć wszystkie wsie i kolonie polskie i przyczynić się do utrwalenia samowiedzy narodowej szerokich sfer ludności wiejskiej na Wołyniu. Na akcję tę Zarząd Główny przeznaczył 1.500 złotych w książkach.

PORADNIA DLA SAMOUKÓW POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ

Wzmagający się brak posad i związanie się bankrutujących warsztatów pracy kieruje liczne rzesze młodych do Poradni dla Samouków, z zapytaniem, czego się uczyć i jak się uczyć, aby być czemś w życiu. Fakt ten nie świadczy o utylizacji wiedzy, gdyż zawsze dla szerokich warstw zdobyć świadectwa naukowego było w większości wypadków kluczem do samodzielnego zarabiania na życie i dziś ten pęd do wiedzy jest przeważnie instynktem samozachowawczym przed głodową śmiercią bezrobotnego.

Z wiarą w lepsze jutro Poradnia udziela w dalszym ciągu wskazówek tym wszystkim, którzy pragną zdobyć wykształcenie ogólne, zawodowe, bądź specjalizują się już w pewnych dziedzinach wiedzy.

KOŁO OPIEKUŃCZE DLA CHWOSZCZOWATEJ

Do Zarządu Głównego Polskiej Macierzy Szkolnej napływają liczne podania w sprawie zakładania i prowadzenia szkół w zapadłych kątach głuchej prowincji. Listy te niejednokrotnie są ciekawymi dokumentami naszego życia na wsi.

Ostatnio założono szkołę powszechną w Chwoszczowatej, powiatu Sarneńskiego i

Od 1.XII.34 = 1.I.35 r.

Dwutygodnik „JA TO ZROBIĘ”

urządza w lokalu własnym ul. Świętokrzyska 17 m. 3

„WYSTAWĘ = KIERMASZ”

p. t.

„JAK I Z CZEGO JA TO ZROBIĘ”

Celem wystawy będzie w jej części pierwszej pokazanie najnowszych, polskich surowców — materiałów w dziedzinie tkanin, nici, włóczek, metali, skóry, pergaminów na abazury, rafji, drzewa, paciorków i wszelkich pomocy technicznych, oraz szeregu artystycznych przedmiotów wykonanych z wyżej wymienionych surowców.

Część druga wystawy obejmie bogaty dział wszelkich najmodniejszych robót ręcznych, przeznaczonych do sprzedaży gwiazdkowej.

Wszystkie Panie, interesujące się rękodzielnictwem, prosimy o zapamiętanie daty trwania naszej

„WYSTAWY = KIERMASZU”

od 1 grudnia 1934 r. do 1 stycznia 1935 r.

dla prenumeratorek pisma „Ja to zrobię” wejście bezpłatne.

Macierz poszukuje wśród społeczeństwa ofiarnych opiekunów dla tej miejscowości, której historia pięknie świadczy o jej mieszkańcach.

Wieś Chwoszczowata w powiecie sarneńskim nie jest wsią wzorową. Rzucona przez los na piasku i błota, do niedawna nieprzebyte, pokryte tylko brzezina i skrzypem „chwoszczaj”, ciężką pracą mieszkańców zmieniła się z ponurego osiedla Smolany na kolonję Chwoszczowata, obejmująca dziś 31 gospodarstw skomasowanych na 207,94 hektarach ziemi.

REJESTRACJA KSIĘGOWYCH W POLSCE

W związku ze staraniami o wprowadzenie ustawy o ochronie zawodu księgowych, Związek Księgowych w Polsce pragnąc zebrać materiał dla ustalenia liczby osób, podpadających pod przyszłą ustawę, zwraca się do wszystkich księgowych (buchalterów) i ich pomocników, aby w dobrze zro-

zumianym interesie własnym zechcieli podać swój adres do Centrali Związku (Warszawa, Żłota 6) lub w jednym z jego Oddziałów w Wilnie, Lublinie, Białymstoku, Lwowie, Gdyni, Katowicach i Bielsku.

Sprawa jest ważna i nie należy zwlekać ze zgłoszeniem.

WYSTAWA KSIĄŻKI HARCERSKIEJ

WYSTAWA KSIĄŻKI HARCERSKIEJ

W dniach 2—9 grudnia r. b. w salach przy ul. Myśliwieckiej Nr. 3, urządzona zostaje pierwsza wystawa książki harcerskiej, która będzie obrazem ruchliwej działalności wydawniczej popularnego w Polsce Harcerstwa, dziś reprezentującego już poważną liczbę około 200.000 członków.

Wystawą w pierwszym rzędzie zainteresowała się młodzież polska różnych organizacji, pedagogowie, wychowawcy i sportowcy, oraz sfery wydawnicze i księgarskie. (H).

TOW. WYDAW. „BLUSZCZ”
zawiadamia o nowej książeczce bibliot.

„Ja to zrobię”

p. t.

„HAFETY

WEŁNA”

Jest to zbiór najciekawszych ściągów włóczkami na suknie, organdy nie i kanwie. Wielki arkusz wzorów z rysunkami w naturalnej wielkości wszystkich modeli zamieszczonych w książce.

Opracowanie Heleny Gawrońskiej

Cena 1 zł. 50 gr. z przes. 1 zł. 80 gr.

Same zrobimy zabawki przy pomocy następujących książeczek, ozdobnie wydanych, zawierających wzory zabawek

Ozdoby choinkowe	Zł. 1.00
Własnej roboty naj- milsze zabawki	„ 1.00
Ruchome figurki własnej roboty	„ 1.00
Zabawki choinkowe	„ 0,80
Zabawki z pudełek	„ 1.00
Domowy warsztat młodzieży	„ 1.50
Wzory ozdób choinkowych	„ 4.00

Wszystkie te książeczki nabyć można w Tow. Wydaw. „BLUSZCZ”, Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 oraz we wszystkich księgarniach i kioskach „Ruchu”. Konto P. K. O. 12.200.

Każda
przezorna
Pani domu
myśli już teraz
o
zorgani-
zowaniu
Świąt
Bożego
Narodzenia

Wydawnictwo „Życie Praktyczne”

poświęcone sprawom gospodarstwa
domowego, poleca książki p. t.

Potrawy wigilijne
Potrawy z ryb
Potrawy z cielęciny
Potrawy z wołowiny
Drób i sposoby przyrządzania
Przystawki gorące
Zimne przekąski
Torty domowe
Nalewki i likiery
Zimne napoje
Jak odróżnić towar dobry od złego
(owoce i jarzyny)
Jak odróżnić towar dobry od złego
(mięso i ryby)

Cena każdej książeczki 1 zł. z przesyłką pocztową 1 zł. 30 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, Warszawa, Solec, 87, i Świętokrzyska 17. m. 3.

Konto P. K. O. 12.200.